ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ROK IX. Nr. 13 (405)
LONDYN, 27 MARCA 1955 R.

PUNKTY WIDZENIA

PRZEPIS NA TUCZENIE GĘSI*)

Ogłoszenie przez amerykański Departament Stanu protokołów konferencji w Jałcie w dziesięciolecie jej odbycia, jest wypadkiem wyjątkowej wagi. Nie są jeszcze dotąd znane powody, dla których, mimo sprzeciwów W. Brytanii, Stany Zjednoczone już teraz zdecydowały się na ogłoszenie tych tajnych dokumentów. Lecz nie powód i nie okoliczności są tu rzeczą istotną i ważną. Wagę tego faktu upatrywać należy w tym, że przychodzi on na chwilę w polityce międzynarodowej osobliwą — ujawniania się konsekwencji broni atomowej i że na radioaktywną chmurę gęstniejącą nad światem rzuca on jaskrawe światło rozeznania, w jakiej naprawdę żyjemy epoce.

W tych dokumentach jałtańskich jest, oczywiście wiele materiału dotyczącego Polski i jej spraw. Teksty dokumentu znane są dotychczas we fragmentach, ale już w nich jest takich polskich wzmianek sporo. W tekście, obejmującym dwa wielkie tomy, będzie ich niewątpliwie znacznie więcej. Z góry wiadomo, że będą dla opinii polskiej nad wyraz przykre. Nie tylko dlatego, że będzie ona musiała raz jeszcze prześledzić poszczególne etapy targu, jakiemu Polska uległa, ale i dlatego także, że usłyszy wiele lekceważących słów na temat rzeczy, które są jej szczególnie drogie.

Już te słowa Churchilla, które zacytowała prasa, stanowią dostateczną dawkę goryczy, aby zwątpić w poziom współczesnej polityki międzynarodowej! Sprawiedliwość każe przyznać, że natychmiast po ogłoszeniu dokumentów, premier brytyjski zastrzegł się w parlamencie przeciw niedokładności tekstów i pomyłkom w referowaniu jego słów. Bardzo pragniemy, aby tak było, jak mówi. Ale opinia polska nie powinna z tego sprostowania wyciągać zbyt przyjemnych dla siebie wniosków. Natychmiastowe sprostowanie nie oznacza wcale, iż premier W. Brytanii robi sobie coś z Polaków i że mu specjalnie zależy na tym, aby Polacy nie byli urażeni. Zależy mu na tym, aby żaden atrybut tradycji angielskiej nie doznał w opinii uszczerbku, a więc i atrybut angielskiego dżentelmeństwa. Polityk może, jeśli tak się obrócą sprawy, porzucić swego sprzymierzeńca, nie wolno mu jednak kopać leżącego.

Nie w tych wszakże sprawach leży ważność ukazania się drukiem tajnych dokumentów jałtańskich. Tkwi ona w paru innych rzeczach ważnych i jednej rzeczy zasadniczej.

Dokumenty wskazują przede wszystkim na charakter mechaniki międzynarodowych działań politycznych, które w państwach nawet najbardziej demokratycznych są wypadkową sił, a w minimalnym stopniu tylko wypadkową zasad. Gdy się patrzy w przeszłość historyczną, mało można znaleźć władców absolutnych, tyranów, despotów i dyktatorów, którzy by w decydującej chwili dziejowej mieli w swych kruchych, omylnych rękach ludzkich większą władzę decyzji w stosunku do milionów i miliardów ludzi od tej władzy, którą miał w Jałcie wybierany na cztery lata prezydent Stanów Zjednoczonych i odwoływany w każdej chwili premier Wielkiej Brytanii. Jeśliby się miało, nie daj Boże, okazać, że świat wejdzie w wojnę atomową i że ludzkość zostanie porażona radioaktywnością, powstałą z bomb i międzykontynentalnych pocisków kierowanych, niefrasobliwa nonszalancja Roosevelta, który nie tylko oddawał przestrzenie i narody Sowietom, ale również zabezpieczał ich siłę — okaże się nonsensem, gorszym od dziecińśtwa.

Drugą rzeczą, którą ukażą ogłoszone dokumenty, będzie demonstracja kruchości przewidywań tych, w których ręce oddają ludy swoje losy. Konferencja w Jałcie odbyła się w lutym 1945 roku. W trzy miesiące później ucichły strzały drugiej wojny światowej. Kierownicy polityki międzynarodowej, ich sztaby doradców, ekspertów i generałów w ekspertyzach swych, które stawały się podstawą decyzji i postulatów, mylili się w swoich ocenach w sposób zasadniczy. Jest, oczywiście, rzeczą niemożliwą przewidywać rozwój wypadków w skomplikowanych warunkach wojennych, trudno jednak przyjąć za normalne, aby ludzie, dla których otwarte były wszelkie najpoufniejsze informacje, mylili się w tylu rzeczach i w takim zakresie. Konferencja w Jałcie przejdzie do historii z dwóch powodów: raz dlatego, iż była najwyższym wzniesieniem cynizmu politycznego i odchrześcijanienia polityki międzynarodowej, po drugie, **iż pomyliła się we wszystkim**, w problemie zasadniczym i we wszystkich szczegółach ubocznych.

Ogłoszone dokumenty rzucają więc światło na poziom polityki międzynarodowej, odbrązowiają ją w oczach milionów ludzi, którzy zwykłym trybem człowieczym idealizują i stawiają na koturnach swoich wybrańców, oddzielonych od tłumów tajemniczością dystansu. Nagle okazuje się, że za tymi draperiami dystansu obowiązuje poziom, który — gdyby był stosowany w pierwszym lepszym przedsiębiorstwie — byłby uznany za niewybaczalne niedołęstwo i prowadził do szybkiej katastrofy. Opory po obu stronach oceanu przeciw ogłoszeniu dokumentów tak wcześnie pochodziły przede wszystkim z niechęci odsłaniania kulis i pokazywania polityków na gorącym uczynku ich działania. Takie sprawy odsłaniane były dotąd dopiero po latach pięćdziesięciu, gdy zadecydowane sprawy dawno już czas strawił, a zainteresowanie było już tylko historyczne. Tu zaś wszedł w grę okres lat dziesięciu i to w takich okolicznościach, że decyzje sprzed tych dziesięciu lat stanowią nasz codzienny chleb zmieniający się w ustach w kamień, który zaczyna zatykać nam gardło.

Ale i to wszystko nie jest jeszcze rzeczą najważniejszą całej sprawy. Zagadnieniem najistotniejszym, które odsłania ogłoszenie dokumentów jałtańskich jest demonstracja niewspółmierności metod politycznych współczesnego świata wobec przedmiotów, którymi polityce przychodzi się zajmować. Pomijam w tym artykule zupełnie charakteryzowanie udziału trzeciego partnera Jałty, Sowietów, interesuje mnie w tej chwili świat zachodni, do którego należę.

Konferencja w Jałcie odbyła się w połowie stulecia dwudziestego, stulecia zmian epokowych, zmian na miarę tysiącleci, politycy zaś Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii wnieśli za stół obrad nawyki działania politycznego z połowy sielankowego wieku dziewiętnastego. Ta niewspółmierność dotyczy nie tylko metod, samej techniki dyplomatycznej, dotyczy dwóch rzeczy w tych sprawach podstawowych: wiedzy i wizji aktualnego rozwoju świata. Zapewne i dawniej, ale na pewno już od pierwszego strzału w drugiej wojnie światowej z każdym dniem rosła skala przedmiotu polityki międzynarodowej. Z jednego narodu, na grupy narodów, z grupy narodów na kontynenty, z kontynentów na cały glob. Gdy się dziś mówi „polityka", rzeczownik ten może mieć tylko jeden zakres pojęciowy: nie polityka tylko jednego narodu, ale polityka całości, wszystkich narodów.

Stany Zjednoczone i W. Brytania wniosły na konferencję w Jałcie niezbyt zaszczytne i gruntownie przestarzałe liczmany dziewiętnastowiecznej chytrości politycznej: jak z ukropu wojennego wymanewrować dobrobyt, spokój, dostatek jednego, swego narodu. Za to przecież sprzedano w niewolę tyle milionów ludzi, a gdy się ktoś zanadto oburzał, gaszono go pytaniem: „A wy byście zrobili inaczej?" Tymczasem prawdziwa treść współczesnego świata jest taka, że nasz czas przestał być już czasem, w którym może być szczęśliwy jeden naród, a inne nie. Muszą być szczęśliwe, albo nieszczęśliwe — wszystkie.

Jako Polak boleję nad tym, co zrobiono z moim krajem, z moimi rodakami, z naszym losem. Ale, jako członek pewnej cywilizacji boleję z taką samą intensywnością nad tym, że w polityce międzynarodowej zastosowano i stosują w dalszym ciągu metody, które nie mogą, nie mogą już **nikomu** pomóc.

Gdy w gęstwinach puszcz mieszkali ludzie daleko jedni od drugich, nakazy moralności miały swoją zwykłą ponadczasową wartość, ale ich ziemski walor ujawniał się w pełni dopiero wtedy, gdy puszcze znikły, a ludzie zaczęli sobie deptać po piętach. Z tą chwilą nakazy moralności stały już nad człowiekiem nie tylko w swym wymiarze nadprzyrodzonym, ale zostały uchwalone przez parlamenty i oddane do wykonania policji. Gdy świat był jeszcze rozległy, polityk mógł jeszcze chodzić w niedzielę do kościoła i mówić pacierz codziennie na prywatny użytek, a w polityce być cynikiem. Jeszcze się ziemia nie trzęsła od tego, choć trzęsły się niebiosa. Ale dziś to już jest niemożliwe i w praktyce ziemskiej, gdy naród stuka się łokciem o naród, gdy państwo przenika państwo i ma otwarte ściany na odrzutowce, gdy wszyscy od wszystkich zależymy. Teraz już polityka międzynarodowa **musi być** oparta na moralności z konfesjonału i oznaczać odpowiedzialność za swój naród i za wszystkie inne narody.

Jeśli kto jeszcze tej współzależności nie widzi, niech trochę poczeka.

J. K.

*) W czasie konferencji w Jałcie Churchill (według ogłoszonych dokumentów) miał powiedzieć: „Nie chcę tak utuczyć polskiej gęsi, aby zmarła na niestrawność".

LEON KOWNACKI

CHOROBA FRANCJI

P. Reynaud, premier rządu francuskiego w tragicznym roku 1940, wniósł do Zgromadzenia Narodowego projekt zmiany konstytucji, mający w pewnych granicach uniezależnić rządy od kapryśnych falowań większości parlamentarnej. Obecny rząd p. Faure jest 21 z kolei w krótkiej historii czwartej republiki; oznacza to, że przeciętne trwanie rządu w okresie dziesięciolecia nie przekroczyło sześciu miesięcy. Żaden, choćby najlepszy rząd nie mógłby zdziałać wiele w tak ograniczonym czasie. Projekt zatem głosi, że jeżeli Zgromadzenie przed upływem dwóch lat od mianowania premiera uchwali rządowi wotum nieufności, premier może w ciągu trzech dni zażądać powtórnego głosowania; gdyby powtórne głosowanie dało ten sam wynik, Zgromadzenie rozwiązuje się z samego prawa i następują nowe wybory.

PRZYMUSOWE WSPÓŁŻYCIE

W obszernym uzasadnieniu projektu p. Reynaud oświadcza, że obecne przepisy konstytucji praktycznie uniemożliwiają rozwiązanie parlamentu. Zgromadzenie może obalać rządy bezkarnie i nadużywa swego prawa. Wystarczy aby rząd podjął projekt reformy naruszającej czyjekolwiek interesy, gdy grupa parlamentarna reprezentująca że przesilenie pozwoli im na uzyskanie raz cięższej waży na uchwałach parlamentu. Posłowie pominięci przy tworzeniu rządu zachowują urazę do nowego premiera i korzystają z pierwszej okazji aby go wywrócić, w nadziei że przesilenie pozwoli im na uzyskanie bądź odzyskanie upragnionego portfelu. Przeszło czwarta część obecnego Zgromadzenia brała udział w rządach; być posłem nie zostawszy nigdy ministrem uważa się za coś uwłaczającego.

Wynikiem jest nie tylko zaniedbywanie reform wewnętrznych, lecz także utrata przez Francję międzynarodowego prestiżu; Francja stała się najsłabszym ogniwem w łańcuchu mocarstw związanych paktem atlantyckim. „Zamiast ustroju parlamentarnego" — mówi p. Reynaud — mamy wszechwładzę parlamentu... Odpowiedzialność nasza przed historią jest ta sama, jaka ciążyła na warstwach uprzywilejowanych ancien régime'u: zginęły one, ponieważ odmawiały wszelkiej reformy". „Réformer ou périr" — dodaje paryski „Figaro".

Projekt uzyskał nadspodziewanie przyjazne przyjęcie w kołach parlamentarnych, co wszakże nie przesądza jego uchwalenia. „Gdyby został uchwalony" — oświadczył poseł Barrachin, jeden z dawnych ministrów — „zagadnienie byłoby rozwiązane". Czy tak jest rzeczywiście? P. Reynaud chce zapewnić rządom Francji przynajmniej dwa lata spokojnego rządzenia. Ufa on, że obawa posłów przed przedwczesną utratą mandatu skłoni ich do ogłędności w odmawianiu rządom zaufania i ma zapewne rację. Odwoływanie się do wyborców w sporze między parlamentem i rządem jest całkowicie sprzeczne z francuską tradycją parlamentarną; przeniesienie sporu na forum wyborów powszechnych byłoby uznane za krok niemal rewolucyjny. W Wielkiej Brytanii przedwczesne rozwiązywanie parlamentu jest regułą, we Francji nie miało ono miejsca od czasów Mac Mahona. Pogląd więc, że projekt p. Reynaud zastępuje niestałość rządu niestałością parlamentu, nie byłby słuszny: obie strony, żywiące tę samą niechęć do skoku w nieznane, mogą ułożyć ze sobą współżycie na przeciąg dwóch lat, czynnikiem wszakże zapewniającym to współżycie niezawsze będzie zaufanie parlamentu do rządu. Rząd mający przeciw sobie większość Izby może być tolerowany jako mniejsze zło od utraty mandatu. Dodać też trzeba, że parlament, który by po uchwaleniu rządowi wotum nieufności, następnego dnia cofnął tę uchwałę w obawie rozwiązania, wyglądałby groteskowo.

CZY TO WYSTARCZA?

Nie każdy wszakże rząd trwały jest jednocześnie rządem silnym. Stałość rządu jest jednym z warunków jego siły, lecz nie wyłącznym. Rząd silny musi mieć program i wolę jego wykonania, te zaś warunki nie zależą od przepisów konstytucji, lecz od ludzi wchodzących w skład rządu. Waldeck-Rousseau, Clemenceau i Poincaré reprezentowali ideę silnych rządów nawet bez konstytucyjnych gwarancji trwałości: trzecia republika miała 105 rządów. Francja, żywiąca paniczną obawę przed „pouvoir personnel", ulegała nieraz, z korzyścią dla siebie, autorytetowi indywidualności.

I to jednak nie wszystko. Rząd obdarzony wewnętrznymi warunkami siły może przeorać państwo ostrzem reform bądź też uznać za swe zadanie ochronę anachronicznych przywilejów i interesów, jak rządy Francji okresu restauracji. Czy obecne Zgromadzenie Narodowe jest zdolne do wyłonienia rządu z szerokim planem reform? Pogląd, że w Zgromadzeniu tym nie ma określonej większości, nie jest słuszny. Większość ta istnieje w postaci stale odnawianej koalicji centrowo-prawicowej, której hasłem jest stagnacja. Rządy wyłaniane przez tę większość i będące jej miniaturą, widzą swą rolę w strzeżeniu istniejącego porządku prawno-gospodarczego. „Francja pod przykrywką ciągłych zmian rządów miała w istocie rzeczy do r. 1954 ten sam rząd" — oświadczył parlamentarzysta francuski, F. Mitterrand. Rządy były niewolnikami swej konserwatywnej większości; ich cechą zasadniczą była bezczynność — l'immobilisme.



OGNIE SZTUCZNE W PARYŻU

Pozornym wyjątkiem od tej zasady stał się w opinii publicznej rząd Mendès-France'a. Choć nadzieje wiązane z osobą dynamicznego premiera były, jak się zdaje, przesadne, utrzymywał on się u steru rządów nie dzięki poparciu większości parlamentarnej, lecz raczej wskutek rozdźwięków wśród swych przeciwników. Rozdźwięki w łonie stronnictw pogłębiają jeszcze marazm parlamentu i rządu. W składzie rządu Faure'a 8 ministrów głosowało za układami paryskimi, 4 przeciw nim, a pięciu, łącznie z ministrem spraw zagranicznych, p. Pinay, wstrzymało się od głosowania.

Kadencja obecnego Zgromadzenia dobiega wprawdzie końca z wiosną przyszłego roku, lecz trudno przewidywać, aby przyszły parlament był zasadniczo różny. Skład parlamentu odbija bądź co bądź kierunki polityczne przeważające w społeczeństwie danego okresu; bezwład izby ustawodawczej jest refleksem bezwładu ideowego społeczeństwa. Francuska ordynacja wyborcza wykrzywia wprawdzie stan opinii publicznej, uprzywilejowując stronnictwa umiarkowane na niekorzyść grup skrajnych, lecz mimo to w Zgromadzeniu zasiada 99 komunistów karnie wykonywających swą robotę destrukcyjną. Można się obawiać, że l'immobilisme stanie się też hasłem przyszłego Zgromadzenia, chyba że groźba wstrząsów społecznych okaże się bezpośrednia i bliska.

KONIECZNOŚĆ REFORM

Bo grunt jest zapalny, Francja potrzebuje reform. Sytuacja gospodarcza uległa wprawdzie pewnej poprawie, lecz deficyt budżetowy przewyższa 600 miliardów franków. Robotnicy i urzędnicy pańtwowi domagają się podwyżek płac, wystarczy niewielki błąd taktyczny, aby wywołać falę strajków podobną do tej jaka zalała Francję w sierpniu 1953 r. System podatkowy jest wadliwy, oszustwa podatkowe są zjawiskiem powszechnym. Sklepikarz francuski, Poujade, zdobył sobie wielką popularność nawołując publicznie do niepłacenia podatków. Gospodarstwo francuskie jest niewydajne i przestarzałe, przeładowane pośrednictwem, wymagające nakładów inwestycyjnych i likwidacji przedsiębiorstw nierentownych. A przede wszystkim i atmosfera społeczna Francji jest niezdrowa, rozpięcia w podziale dochodu społecznego zbyt rażące. Nierówności społeczno-gospodarcze mogą nie prowadzić do wstrząsów, gdy warstwy upośledzone gospodarczo mają możność ludzkiego bytowania. Jeżeli natomiast nagromadzeniu bogactw w ręku uprzywilejowanych dziesięciu tysięcy towarzyszy nędza mas, powstaje w warunkach współczesnych sytuacja quasi-rewolucyjna.

Poseł A. Gazier opisuje w sprawozdaniu złożonym Zgromadzeniu stan budownictwa we Francji. Francja w tej dziedzinie zajmuje 15 miejsce w Europie, ustępując m.in. i Polsce. Przeciętny wiek budynków w Paryżu wynosi 83 lata, na prowincji 120 lat. W Bretanii więcej niż połowa domów nie ma elementarnych urządzeń sanitarnych. 45% ma ziemne podłogi. 25% małżeństw zawartych w r. 1948 nadal szuka pomieszczenia mieszkając u rodziców bądź w hotelach. W Paryżu 400.000 osób zajmuje, w braku mieszkań, pojedyncze hotelowe pokoje, 2000 osób nie ma w ogóle mieszkań, biwakując wokół stacji kolejki podziemnej. Stolica Francji za świetnością Pól Elizejskich i wielkich bulwarów ukrywa 16 „îlots insalubres", rejonów uznawanych wielokrotnie za nienadające się do zamieszkania, pozbawionych wody, gazu i elektryczności, lecz gromadzących w swych zmurszałych budynkach 180.000 ludzi. Ville Lumière...

Chodzi jednak nie tylko o sytuację wewnętrzną. Zaognienie stosunków w Afryce północnej wymaga planu i zdecydowanej akcji, sprawa zbrojeń niemieckich nadal dzieli opinię publiczną. Prądy neutralistyczne nie tracą na sile, Francja w pogoni za mirażem bezpieczeństwa gotowa jest, jak się zdaje, płacić za nie każdą cenę, nawet cenę wolności.

DEKADENCJA

Co jest przyczyną tej dekadencji wielkiego mocarstwa? Wydaje się, że po katastrofie 1940 r. pozostał we francuskiej świadomości narodowej osad defetyzmu, pogłębiony wydarzeniami lat następnych, klęską w Indochinach, zagrożeniem posiadłości imperialnych i stanem niepewności w Europie. Konsekwencją klęski wojennej było załamanie się struktury państwa i zanik jedności narodowej. Przedsiębiorca francuski sądzi, że utrzymując swój zakład w ruchu i ciągnąc z niego zyski, spełnia swe obowiązki wobec państwa. Gospodarstwo francuskie pochłonęło przeszło 3 miliardy dolarów pomocy amerykańskiej z Planu Marshalla, przeznaczonej w teorii na podniesienie ogólnego poziomu życia ludności. Pomoc ta nie osiągnęła celu. „Rezultat był taki" — pisze D. Middleton w swej „Defense of Western Europe" — „że wielcy przemysłowcy otrzymali nowe fabryki, surowce i zwiększyli produkcję, robotnik zaś... dostał bardzo niewiele. Popełniono błąd w ocenie ludzi kierujących wielkimi przedsiębiorstwami Europy zachodniej. Stosunek tych ludzi do robotnika jest archaiczny, najbardziej zacofana korporacja amerykańska wygląda wobec nich, jak połączenie św. Franciszka ze związkiem fabianistów. Oczekiwanie, że korzyści uzyskane przez nich z pomocy amerykańskiej dosięgną robotnika, było dziecińśtwem".

A więc egoizm, krótkowzroczność i obojętność już nie jednostek, lecz warstwy społecznej odgrywającej przeważającą rolę w życiu państwa. Bezpośrednio po wielkim strajku 1953 r. markiz de Cuevas, znawca i protektor baletu, wydał w Biarritz bal olśniewający przepychem urządzeń i świetnością strojów. Gdy błyszczące limuzyny mijają obojętnie zaułki, z których wyziera wstydliwie nędza, cóż dziwnego, że co piąty Francuz głosuje na komunistów?

O CZYM SIĘ NIE PAMIĘTA

Czy reforma konstytucji może naprawić ten stan rzeczy? Nie należy przeceniać znaczenia reform ustawodawczych. Zgromadzenie Narodowe uchwaliło niedawno zmianę konstytucji, mającą na celu, przez zniesienie t.zw. podwójnej inwestytury, ułatwić powoływanie rządu; okazało się w praktyce, że trudności stały się raczej większe: ostatnie przesilenie trwało 18 dni. Francji jest potrzebna przede wszystkim reforma psychiki społecznej, przełamanie „eskapizmu", obudzenie ducha obywatelskiego i — przypomnienie sobie zasad moralności chrześcijańskiej. Zasady te w dziedzinie współżycia społecznego streszcza kilka prostych słów, przeciwstawiających ideę chrześcijaństwa utopijnym hasłom rewolucji socjalnej, idącym ze Wschodu. „Nie każdy podział dóbr materialnych i bogactw między ludzi... pozwala osiągnąć cel przez Boga zamierzony. Dlatego taki winien być udział jednostek i klas społecznych w bogactwach... by był zapewniony pożytek wszystkich... Tej zasadzie sprawiedliwości społecznej sprzeciwia się wykluczenie jednej klasy przez drugą od udziału w korzyściach. I gwałci ją klasa bogatych, kiedy w swej bezmyślności spowodowanej posiadaniem bogactw, taki ustrój uważa za słuszny, który jej zapewnia wszystko, a robotnikowi nie daje nic".

Jest paradoksem historii, że ideę sprawiedliwości społecznej pojmują lepiej protestanckie kraje anglosaskie niż katolicka Francja. A przecież w słowach Piusa XI jest realizm i odczucie współczesności, drogowskaz wiodący ku odrodzeniu Francji. Niedoskonałość konstytucji stałaby się wówczas rzeczą drugorzędną. Czy Francja to na czas zrozumie? Trzeba ufać, że nie zamarły w niej siły społeczne zdolne do podźwignięcia narodu z upadku. Réformer ou périr... A silna Francja potrzebna jest światu i także — Polsce.

Leon Kownacki

„Serce Polski nie zmieniło się"

TEKST OŚWIADCZENIA KS. KARDYNAŁA GRIFFINA

W uroczystość św. Kazimierza, księcia polskiego, ślę pozdrowienia wszystkim moim polskim przyjaciołom zarówno w Kraju jak i na wygnaniu. Ten wielki Patron narodu polskiego będzie zawsze czczony za swe nabożeństwo do Najświętszej Panny i za miłość do swego kraju. W tym streszcza on tradycyjny charakter polskiego narodu.

Wspaniały tego dowód widziałem w czasie mej wizyty w Polsce w lecie 1947. Wspominam z wdzięcznością entuzjastyczne przyjęcie, jakiego doznałem ze wszystkich stron i zawsze będę to uważał za wielki przywilej, że byłem dopuszczony do oglądania tak dużej części Polski i asystowania przy wielu uroczystościach religijnych.

W towarzystwie nieżyjącego dziś Kardynała Hlonda mogłem, w czasie mej wizyty, powitać wielu członków polskiej Hierarchii. Szczególnie byłem rad ze spędzenia czasu z Biskupem lubelskim, Wyszyńskim, który miał potem stać się Kardynałem, Arcybiskupem gnieźnieńskim i warszawskim i Prymasem Polski.

Doznaję smutku na myśl o wielu zmianach, jakie zaszły w Polsce od tego czasu. Przywiązywałem wielką wagę do tego osobistego zetknięcia się z polskimi Biskupami, lecz teraz, niestety, niektórzy z nich, włączając Prymasa, marnieją w więzieniu i nasz osobisty kontakt jest zerwany. Nie możemy już więcej wymieniać swobodnie wiadomości kościelnych. W istocie, nie okazało się możliwe dla nas powitać Kardynała Wyszyńskiego w Rzymie z okazji Konsystorza, na którym został mianowany członkiem Świętego Kolegium.

Polska obecnie przynależy do Kościoła Milczenia. Ci, którzy mówią w jej imieniu, mówią bez autorytetu. Aktów prześladowania dokonywa w imieniu państwa rząd, który pozostaje w konflikcie z chwalebną tradycją przeszłości Polski.

Zaledwie kilka dni temu otrzymałem, za pośrednictwem polskiej ambasady w Londynie, pismo skierowane do mnie przez dwóch księży — przynajmniej jeden z nich jest suspendowany — z których jeden podaje się za prezesa, a drugi za sekretarza Komisji Katolickich Księży. Jaki ci ludzie mają za sobą autorytet, przemawiając? Czy w imieniu Kościoła proszą mnie o interwencję w międzynarodowej polityce, co u innych Biskupów uważają za nieprzebaczalny grzech? Czy mogą być prawdziwymi synami Kościoła i Polski ci, którzy odrzucają powagę swoich Biskupów i starają się zerwać łączność ze Stolicą Piotrową? Tacy ludzie są marionetkami (such men are puppets) nie służącymi ani sprawie pokoju ani interesom własnego kraju.

Wiem, że serce Polski się nie zmieniło. Jej naród jest nadal natchniony głęboką wiarą religijną i przywiązaniem (devotion) do Stolicy Świętej. Ten duch jest nieprzezwyciężony, ponieważ jest ożywiany i zasilany Łaską Bożą.

W uroczystość św. Kazimierza proszę waszego wielkiego Patrona, żeby czuwał nad waszymi sprawami i orędował za wami przed tronem Boga. Proszę, aby nasza Panienka, do której św. Kazimierz miał tak głęboki kult, zechciała was osłaniać i pocieszać. Katolicy w całym świecie łączą się z wami w modlitwie o pokój dla Polski i dla całego rodzaju ludzkiego.

REKOLEKCJE

dla Polaków z centrum Londynu odbędą się w Brompton Oratory w dniach od 3 do 6 kwietnia.

Pierwsza nauka w Niedzielę Palmową, dnia 3 kwietnia o godz. 6 wieczorem. **Następne nauki** w dniach 4 i 5 kwietnia, to jest w Wielki Poniedziałek i Wtorek — o godz. 7 wieczorem.

Spowiedź w Wielki Wtorek od godz. 3 po południu.

W Wielką Środę o godz. 9 rano Msza św. ze wspólną Komunią św.

Nauki rekolekcyjne będzie głosił ks. prałat Władysław Staniszewski, wikariusz-delegat dla Polaków w Anglii i Walii.

ZAMKNIĘTE REKOLEKCJE DLA PAŃ

Rekolekcje zamknięte dla pań odbędą się w Cenacle Convent, Hampstead, London, N.W.3, w dwóch terminach: od 29 marca do 1 kwietnia i od 1 do 4 kwietnia. Prowadzi benedyktyn ojciec Karol Van Oost. Informacje i zapisy: tel. LAD 3629, 4-6 wieczorem; albo listownie: Koło Pań „Veritas", 5, Keslake Road, N. W. 6.

AUDYCJA POŚWIĘCONA OJCU KOLBE

W niedzielę, 13 marca w audycji o godz. 22 Sekcja Polska BBC nadała program poświęcony Ojcu Maksymilianowi Kolbe, w opracowaniu Witolda Leitgebera.

Część słuchowiska, a zwłaszcza fragment dotyczący śmierci Ojca Kolbe w Oświęcimiu, jest zradiofonizowanym urywkiem z książki Marii Winowskiej SZALENIEC NIEPOKALANEJ, wydanej przez Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas".

Książka „Szaleniec Niepokalanej" jest do nabycia w cenie 15/- w Księgarni „Veritas", 12, Praed Mews. London, W. 2.

WITOLD LEITGEBER

„PONAD TYM, CO STARE I NOWE"

Historia nawrócenia Chińczyka

Pod koniec ubiegłego roku czytaliśmy nową encyklikę Piusa XII skierowaną do narodów chińskich: „Ad Sinarum Gentem". Zwróciła ona naszą uwagę nie tylko na prześladowanie Kościoła w tym kraju przez komunistów, ale także równocześnie uprzytomniła nam prawdę, o której często zapominają Europejczycy, że katolicyzm jest religią powszechną, ogólno-światową, wyznawaną zarówno przez „białych" jak i „żółtych" czy „czarnych". Podstawowe problemy ludzkie wykraczają poza ciasne pojęcia ujmowane określeniami: „Wschód" i „Zachód". Wszyscy należymy do jednego i tego samego rodu ludzkiego. Wszyscy posiadamy jednego i tego samego Boga. W sposób bardzo osobisty opowiedział nam o tym Chińczyk, John Wu w książce wydanej po angielsku w Londynie.*)

John Wu, a według stylu chińskiego Wu Ching - Hsiung jest wybitnym współczesnym prawnikiem i filozofem chińskim. Studiował prawo w Pei Yang i Szanghaju, a potem w Stanach Zjednoczonych, w Paryżu i w Niemczech. Był swego czasu prezesem Trybunału Międzynarodowego w Szanghaju, jednym z głównych autorów Konstytucji Chin w latach trzydziestych, był członkiem delegacji chińskiej na konferencję w San Francisco w roku 1945, a w końcu, po ostatniej wojnie, był pierwszym posłem Chin przy Stolicy Apostolskiej. Jest autorem szeregu książek na tematy filozoficzno-prawnicze. Tłumaczył poezję chińską na język angielski, a także przetłumaczył na język chiński Nowy Testament i Psalmy, częściowo czyniąc to razem z marszałkiem Cziang-Kai-Szekiem. Zupełnie świeżo zaś wyszła jego książka na temat mistycyzmu chrześcijańskiego pt. „The Interior Carmel", która jest owocem wieloletniej lektury i rozmyślań.

Okruchy prawdy rozsypane są w wielu religiach świata. Dopiero jednak dzięki łasce Boskiej można oczyścić je od różnych domieszek i odszukać złoto prawdziwej Wiary.

Tak ogólnie można by streścić ewolucję duchową autora książki.

Z tego pobieżnego życiorysu John Wu widzimy jak urozmaiconą i niecodzienną była jego kariera. Omawiana książka nie jest jednak autobiografią, ale historią duchowej pielgrzymki, wiodącej autora od Buddy, Konfuncjusza i Lao-Tsu do Kościoła katolickiego.

John Wu wychowany został w tradycyjnej religii chińskiej. Opiera się on na wierze w niebo, oraz w najwyższą Istotę, sprawiedliwą i miłosierną, która widzi wszystko, wynagradza dobrych a karze złych. Dlatego człowiek winien być dobrym i pomagać innym. Na dłuższą metę oznacza to pomaganie samemu sobie i swym dzieciom. A dalej religia ta wierzy w różne pomniejsze bóstwa, które są wysłannikami nieba, jak na przykład sam Budda lub Konfucjusz. Na tle tych ogólnych wierzeń chińskich zarysowują się trzy zasadnicze religie: buddyzm, konfucjanizm i taoizm.

Autor przedstawia podstawowe założenia tych religii, które znajdują odźwięk w duszy niemal każdego Chińczyka jego pokolenia i są w rzeczywistości wyznawane jednocześnie. Konfucjonizm jest dla niego religią etyczną, moralną, taoizm — filozoficzną, a buddyzm — duchową. Jeśli taoizm daje zabarwienie konfucjanizmowi, to buddyzm stanowi jak gdyby atmosferę, w której obydwie te religie obracają się. John Wu podkreśla, że w konfucjanizmie znajdował wytyczne postępowania oraz zasady regulujące jego stosunek wobec drugich, który winien opierać się na „pietyzmie", czyli oddaniu i miłości synowskiej. Taoizm był dla niego poglądem życiowym, nakazującym patrzeć na zmienność losów ludzkich jako na normalny bieg wydarzeń oraz uczącym nie przywiązywać wagi do rzeczy tego świata. Buddyzm natomiast stanowił podstawę życia wewnętrznego, mówiąc o transcendentnych dążeniach człowieka.

Już z tego krótkiego przedstawienia sprawy widzimy, ile pierwiastków chrześcijańskich można odnaleźć w tych wielkich religiach Dalekiego Wschodu. John Wu nie waha się powiedzieć, że były one dla niego narzędziami, które dzięki Łasce otworzyły mu oczy na Prawdę; że były „ pedagogami wiodącymi do Chrystusa". Przytacza on wiele przykładów, świadczących o wspólnocie języka, jakim mówili wielcy myśliciele i mędrcy chińscy oraz chrześcijańscy. Jakże bliskimi są pojęciom chrześcijańskim takie powiedzenia chińskie jak np.: „Człowiek ma tysiące planów, lecz niebo tylko jeden", lub: „Unikaj wszelkiego zła, miłuj wszystko co dobre i miej czystą myśl", albo: „Miłość, sprawiedliwość, lojalność i wierność stanowią szlachectwo niebieskie", czy w końcu nakaz Konfucjusza: „Nie czyń drugim tego, czego nie chciałbyś, aby oni tobie uczynili" (str. 45-47, 186 i 347).

Jednakże tradycyjne religie chińskie nie dały pełnego zadowolenia wewnętrznego autorowi omawianej przez nas książki. Dla niego przedstawiają one tylko piękne powiedzenia, szlachetne zalecenia, ale nie mają autorytetu Boga. Bóg religii chińskiej „Shang Ti" jest czymś, co właściwie w życiu Chińczyka nie istnieje. Jest On bowiem tak bardzo od niego oddalony, a cześć mogli Mu oddawać tylko cesarze. Umysł Johna Wu jest niespokojny i dociekliwy. Podświadomie niejako wyczuwa, że religia chińska nie ujawniła mu pełnej prawdy.

John Wu rozczytany podczas studiów w Biblii, przyjmuje chrzest z rąk metodystów, do których uczelni uczęszczał w Szanghaju. Było to jednak nawrócenie powierzchowne. Wkrótce zapomina o swej wierze. W środowisku uniwersytecko-naukowym, w jakim znalazł się na Zachodzie, staje się wolnomyślicielem, sceptykiem, agnostykiem. Sztuka zaspokojenia w filozofowaniu i użyciu życia. John Wu opisuje swój ówczesny stan duchowy w słowach pełnych ironii i rozczarowania. „Utraciłem melodię mego życia, a harmonii jeszcze nie osiągnąłem. Ja także próbowałem różnych desperackich namiastek, próbowałem tańczyć, żuć gumę, pić piwo, czytać opowiastki, studiować filozofię, grać w madżonga. Lecz nie dały mi one rzeczywistego szczęścia. Przestałem być upojony Bogiem, a równocześnie nie byłem jeszcze w pełni sofistą. Czułem się jak upadły anioł" (str. 206).

John Wu przechodzi przez okres wielu lat rozterek, wzlotów i upadków, oraz dalszych poszukiwań, wahań — i „de profundis" woła:

„Tęskniłem za Bogiem, lecz zapomniałem, że Chrystus jest drogą powrotu do Niego.
„Miałem współczucie dla biednych, lecz zapomniałem, że człowiek ma nie tylko ciało, ale także i duszę.
„Pragnąłem mądrości, lecz zapomniałem, że mądrość można osiągnąć tylko przez wyrzeczenie.
„Pragnąłem znaczenia, lecz zapomniałem, że dobroć a nic innego jest siłą.
„Pragnąłem wolności, lecz zapomniałem, że wolność zdobyć można tylko przez posłuszeństwo przykazaniom Bożym.
„Pragnąłem życia, lecz biegłem szerokim gościńcem wiodącym do zguby.
...Zagubiłem się w labiryncie życiowym." (str. 8).

Słowa te obrazują dobitnie stan duchowy, w jakim znalazł się John Wu. Jakże jest on podobny do obrazu sprzed tysiąca pięciuset lat, nakreślonego w „Wyznaniach" św. Augustyna. Odwieczny pierwiastek ludzki nie zmienia się. Nie zależy ani od czasu, ani od szerokości geograficznej, czy koloru skóry. I tu i tam widzimy takiego samego człowieka, podobnego do każdego z nas, walczącego z namiętnościami, wątpiącego, dążącego do Prawdy i wreszcie zdobywającego ją.

Moment zwycięstwa nadszedł dla Johna Wu niespodziewanie, gdy liczył lat 40. Było to w czasie rozpoczęcia się w pełni wojny japońsko-chińskiej, w roku 1937. Łaska Boska różnymi drogami kroczy. John Wu przypadkiem natknął się na wyjątki z „Apologii pro Vita Sua" Henryka Newmana. Zrobiły one na nim ogromne wrażenie, z jednej strony podobieństwem sytuacji własnej i wielkiego kardynała, a z drugiej zawartą w nim nauką o Kościele. Potem John Wu czyta „Życie Chrystusa" Papiniego, a dalej „Boską Komedię" Dantego, pisma św. Jana od Krzyża i św. Franciszka Ksawerego. John Wu wspomina również, wśród innych przeczytanych autorów katolickich, ojca Maksymiliana Kolbego, którego poznał w tłumaczeniu na język angielski.

Ostatecznie jednak książka św. Teresy z Lisieux „Histoire d'une âme" skłania go do decyzji zwrócenia się o przyjęcie do Kościoła katolickiego. „Jeśli książka ta reprezentuje katolicyzm — pisze John Wu — to nie widzę powodów, dlaczego nie miałbym być katolikiem", po czym dodaje: „Święta Teresa wydaje mi się łączyć w sobie serce Buddy, cnoty Konfucjusza i filozofię Lao-Tzu" (str. 243). „Czytając św. Teresę — wyznaje John Wu — często myślałem, jakże chińską jest ona" (str. 352).

W końcowym rozdziale John Wu pisze o tym, co mu dał Kościół oraz zapytuje się, czy stracił coś przez zostanie katolikiem? „Absolutnie nic — odpowiada. — Wprost przeciwnie. Zyskałem Chrystusa a przez to uzyskałem wszystko. Prawda uczyniła mnie wolnym, a Łaska dopomogła mi cieszyć się świeżo nabytą wolnością" (str. 360).

Książka John Wu napisana jest pięknym stylem, bogata jest myślą, zadziwiająca trafnością spostrzeżeń, a człowiekowi Zachodu uprzytamnia powszechność Kościoła i fakt, jakim błędem jest uważanie chrześcijaństwa za religię wyłącznie zachodnią. „Zachód może jest chrześcijański (pragnąłbym, aby był nawet bardziej chrześcijański) — pisze autor. — Lecz chrześcijaństwo nie jest czymś zachodnim. Wykracza ono poza pojęcia Zachodu i Wschodu. Jest ono ponad tym, co stare i nowe" (str. 12). Stąd tytuł książki — „Beyond East and West" (Poza Wschodem i Zachodem).

Czy nie tutaj leży zasadnicza odpowiedź, wskaźnik najważniejszy przy próbach rozwiązywania zagadnień Dalekiego Wschodu?

Witold Leitgeber

*) „Beyond East and West" by John Wu. Sheed and Ward. London. Stron 364.

TERESA Z KONNERSREUTH

Za mało znaną i przemyślaną jest prawda, że do budowania Mistycznego Ciała Chrystusowego czyli Kościoła powołani są wszyscy ludzie, zwłaszcza katolicy (por. Ef. 4, 1-16). Budowanie Mistycznego Ciała Chrystusowego dokonywa się przede wszystkim środkami nadprzyrodzonymi: modlitwą, życiem sakramentalnym, cierpieniem — i dlatego nigdy w Kościele katolickim nie brakło i nie braknie osób, które, jak stwierdza św. Paweł w Liście do Kolossan (1, 24), radują się w cierpieniach za Kościół i dopełniają tego, czego nie dostaje cierpieniom Chrystusowym. Nie dlatego, jakoby cierpienia Chrystusa nie były wystarczającym okupem sprawiedliwości Bożej spłaconym, ale ponieważ w mądrości swojej zechciał On, by wspólnym wysiłkiem modlitwy i cierpienia było budowane Jego Ciało Mistyczne. Dla przykładu przypomnijmy spośród wielu trzy osoby. Błog. Lidwina z Schiedam we Flandrii (1380—1433), ubezwładniona od 16 roku życia wskutek uszkodzenia kości pacierzowej, stała się dzięki heroicznemu znoszeniu cierpień zadośćczyniącą ofiarą. W XIX wieku Belgijka Ludwika Lateau z Bois-d'Haine, o której Kościół nie wydał jeszcze swego sądu, znosiła niebywałe cierpienia za Kościół, cieszyła się w piątki ekstazami, 12 lat żyła bez jedzenia i picia i spania. Św. Teresa od Dzieciątka Jezus powiedziała w dniu swej śmierci (por. rozdział XII jej „Dziejów duszy"): „Nie, nigdy nie sądziłabym, że można było tak wiele cierpieć... Nie mogę tego wytłumaczyć sobie inaczej jak moim najżywszym pragnieniem zbawiania dusz." A zbawianie dusz — to wszak budowanie Mistycznego Ciała Chrystusowego.

W czasach dzisiejszych, w małej mieścinie w Bawarii, w Konnersreuth, żyje licząca obecnie 55 lat Teresa Neumann i jedynym jej pragnieniem, jak sama mówi, jest zaświadczyć o istnieniu nadprzyrodzoności. Mija w roku bieżącym 32 lata, jak w życiu jej zaczęły występować zjawiska, o których Kościół nie zwykł za życia danej osoby wypowiadać swego autorytatywnego sądu: absolutny post bez tracenia na wadze, stygmaty, wizje Męki Pańskiej, czytanie w duszach ludzkich. Od 25 lat ukazało się w różnych językach wiele książek i broszur, omawiających problem Konnersreuth: są one u jednych wyrazem szukania w ciężkich obecnych czasach pociechy w fakcie „zbliżenia się Boga do ludzi", u innych wyrazem zaniepokojenia, mianowicie u tych, którzy uważają, że zbudowany przez nich świat „pewników naukowych" tłumaczy wszystko bez reszty, bez uciekania się do nadprzyrodzoności, dla nich niewygodnej.

Po wojnie odżyło zainteresowanie się Teresą Neumann. Znowu ukazują się książki, jak np. w Niemczech książka Ludwiki Rinser, obecnie wydana w tłumaczeniu na język francuski w wydawnictwach Seuil, Paryż 1955, pt. „La vérité sur Konnersreuth". W książce tej autorka omawia ciekawe zagadnienie: dlaczego rząd Trzeciej Rzeszy nie pozbył się niewygodnej dla siebie Teresy Neumann. Otóż próbowano nakłonić Teresę, by poddała się badaniom w klinice „neutralnej", gdzie mogłaby być zlikwidowana w sposób nie zwracający uwagi. Mimo że Teresa nie zgodziła się na to, nie posunięto się do aresztowania jej, ponieważ była ona pod szczególną opieką samego Hitlera. Hitler ze względu na to, że cieszyła się ona w świecie katolickim wielkim prestiżem, nie chciał zrażać sobie katolickich krajów, a zwłaszcza Włoch. Głównym powodem jednak była zabobonna obawa Hitlera, obawa tajemnej siły Teresy. I stąd Teresa była wprost pod opieką nazistów i gauleiter Holtzeschuber w swych podróżach z Regensburga do Berlina zatrzymywał się regularnie w Konnersreuth, by poinformować się o stanie Teresy celem złożenia sprawozdania Hitlerowi.

Teresa Neumann poza przepowiednią w roku 1933, że wszystko skończy się źle, nie wypowiadała się w sprawach politycznych dotyczących Trzeciej Rzeszy. Ostrzegała jednak poszczególne osoby przed grożącym im aresztowaniem, np. dra Gerlicha, autora dwutomowej obszernej o niej monografii, wzbronionej do czytania z powodu braku odpowiedniej dla takich książek aprobaty kościelnej.*) Ostrzegła też ojca Ingberta Naaba, który kilkakrotnie na skutek tych ostrzeżeń uchodził przed aresztowaniem niemal w ostatniej chwili, a także uprzedziła o grożącym mu niebezpieczeństwie hr. Waldburg Zeila.

Zdawało się, że Konnersreuth uniknie skutków wojny, tym bardziej, że oddziały angielskie i amerykańskie miały rozkaz zajęcia tej miejscowości bez walki. W ostatnich jednak dniach wojny rozpętała się nad Konnersreuth straszliwa kanonada. Teresa była w bezpiecznym miejscu z proboszczem Naberem i innymi osobami, mianowicie w piwnicy stodoły proboszczowskiej. Stodoła spłonęła, ale osoby ukryte w piwnicy ocalały. Teresa wiedziała przedtem, że ocaleją wśród płomieni. Jedyną stratą było spalenie się notatek proboszcza, w których od szeregu lat zapisywał przebieg choroby, uzdrowienie i rozwój darów mistycznych Teresy.

W Stanach Zjednoczonych franciszkanie w miejscowości Pułaski, Wis., wydali pracę o. Henryka Malaka „Teresa Neumann" (str. 72 i 3 strony fotografij, cena 15 centów). Autor podaje w pierwszej części wyjaśnienie stygmatów i wymienia najważniejsze z tych osób (wśród nich i Polaków), które w ciągu wieków cieszyły się darem stygmatów. Następnie w drugiej i trzeciej części omawia historię stygmatów Teresy Neumann i opisuje swą podróż do Konnersreuth i swoje stamtąd wrażenia.

Wład. Jelonek

*) Stosownie do kanonu 1399 książki o nowych objawieniach, wizjach, proroctwach, cudach wydane bez zastosowania przepisów Prawa Kanonicznego są wzbronione z samego prawa (ipso iure).

KONKURS NA ZBIÓR WIERSZYKÓW DLA MAŁYCH DZIECI

Polska Macierz Szkolna Zagranicą oraz Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas" ogłaszają konkurs na Zbiór Wierszyków dla Małych Dzieci.

Zamiarem inicjatorów tego rodzaju wydawnictw jest danie polskim rodzicow i wychowawcom pomocy w postaci krótkich wierszyków dla małych dzieci, w rodzaju popularnych w Anglii tzw. nursery rhymes.

Warunki konkursu 1) Osoby, które pragnęłyby wziąć udział w tym konkursie zechcą zwrócić się po szczegółowe warunki konkursu pod adresem: **Kat. Ośrodek Wydawn. „Veritas", 12, Praed Mews, London, W.2, England,** nadsyłając: z Anglii — zaadresowaną i ofrankowaną kopertę; z zagranicy — dokładny adres i międzynarodowy kupon pocztowy; z krajów zamorskich adres i takiż kupon na list lotniczy.

2) Polska Macierz Szkolna Zagranicą oraz Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas" przeznaczając **trzy nagrody w wysokości £ 25, £ 15 i £ 10.** Prace drukowane będą ponadto honorowane według osobnej umowy.

3) Termin nadsyłania prac do dnia 30 czerwca 1955 r.

W interesie ogółu prosimy całą prasę polską na emigracji o przedrukowanie tej wiadomości o konkursie, aby jak najwięcej autorów ze wszystkich polskich ośrodków mogło w nim wziąć udział.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Prace Papieża po chorobie. Papież po ostatniej chorobie odzyskuje powoli zdrowie i siły, o czym świadczy powrót do udziału w ceremoniach kościelnych i udzielanie audiencji, aczkolwiek nielicznych i dla małych grup osób. 10 marca na specjalnej audiencji, zwyczajem lat poprzednich, Papież przyjął proboszczów i wielkopostnych kaznodziejów Rzymu. Byli ponadto obecni w liczbie 500 proboszczowie z różnych diecezyj włoskich, przebywający w Rzymie na kursie Akcji Katolickiej i 130 proboszczów przybyłych na kurs o „lepszym świecie" zorganizowany w związku z ruchem zapoczątkowanym przez Papieża przed dwoma laty. Do zebranych na audiencji w Sali Klementyńskiej Papież wygłosił dłuższe przemówienie, transmitowane przez Radio Watykańskie i Radiotelewizję Włoską. Tegoż samego dnia Papież w sali del Tronetto przyjął uczestników ekspedycji włoskiej, która zdobyła szczyt K 2 w Himalajach. W imieniu ekspedycji, jej kierownik prof. Desio ofiarował Ojcu św. artystyczną reprodukcję masywu K 2 i swą książkę opisującą zdobycie szczytu górskiego.

W sobotę 12 marca, w rocznicę swej koronacji, Papież wziął udział w uroczystej Cappella Papale w kaplicy Sykstyńskiej. Mszę św. pontyfikalną celebrował kardynał Aloisi Masella, prefekt św. Kongregacji Sakramentów. Obecnych było oprócz celebransa 17 kardynałów, wielu arcybiskupów i biskupów, wśród nich Evreinoff, Gawlina, Buczko, Padolskis, był także korpus dyplomatyczny z jego dziekanem ambasadorem Papée i inne osobistości.

Powieść katolicka powinna być pisana na kolanach. W ciągu stosunkowo krótkiego czasu, niespełna półtora roku, po raz czwarty autorowie ogłaszani za wielkich pisarzy katolickich popełniają takie błędy, że nie tylko dorośli katolicy znający jako tako katechizm, ale inteligentniejsze dzieci mogłyby pouczyć ich w zakresie prawd wiary.

Giovanni Papini w książce „Il diavolo", str. 394 (Vallecchi, Florencja, 1954) wyraził swą wielką nadzieję, że na końcu świata piekło przestanie istnieć i nawet szatan zostanie pojednany z Bogiem, bo Bóg będąc Nieskończoną Miłością nie może się zaprzeć swej istoty. O tej książce wspomniał Papież w trzeciej części swego przemówienia do Unii Włoskich Prawników Katolickich, ogłoszonego w numerze „Osservatore Romano" z 6 lutego 1955, w następujących słowach: „Dysputy, jakim dała początek książka niedawno wydana, wykazują często poważny (grave) brak znajomości nauki katolickiej i wywodzą się z przesłanek fałszywych lub fałszywie rozumianych."

Przed kilku miesiącami Graham Green z racji niekościelnego pogrzebu Colette napisał list otwarty do kardynała Feltina. (Zamieściliśmy w ŻYCIU nr. 36 z 1954 r.). List ten wykazuje brak dostatecznej znajomości nauki katolickiej, której nie wolno nie zgłębić zanim zacznie się pisać na ten temat, bo wszak wrogowie Kościoła mogą powiedzieć: oto wasz sztandarowy pisarz, wychwalany pisarz k a t o l i c k i !

François Mauriac, który niedawno wystąpił nieroztropnie i nie jak na pisarza katolickiego przystało w sprawie dominikanów francuskich, napisał ostatnio artykuł, w którym zastanawiał się nad motywami, dlaczego na papieża nie powinien być wybrany kardynał amerykański. W sprawie tej zabrał głos w dłuższym wywodzie „Osservatore Romano" w numerze z 25 lutego i zaznaczył, że „czasy dojrzewają: kiedyś do stawiania veto tego rodzaju byli cesarze; dziś z niezwykłą niestosownością podejmują się tego pisarze, którzy będąc katolikami i osiągnąwszy sławę literacką są przeświadczeni, że biorą udział w urzędzie nauczycielskim Kościoła, a nawet że mają jakiś rodzaj bezpośredniej inspiracji".

Wobec takich i tym podobnych wystąpień nabierają tym większej mocy słowa Fra Angelico, którego 500-letnią rocznicę śmierci obchodził świat artystyczny w dniu 18 marca. Jego dewizą było: „Kto chce przedstawiać dzieła Chrystusowe, powinien być zawsze z Chrystusem". Dzieła swoje tworzył w modlitewnym uduchowieniu i poprzedzając je modlitwą czyli na kolanach. Dlatego stara kronika klasztoru św. Dominika z Fiesole zapisała o Fra Angelico: „Jak sam był pobożny głęboko, tak i osoby malował pełne pobożności." Mówiąc o nim dla uczczenia rocznicy tegorocznej kardynał Costantini nawiązał do św. Benedykta: „Mens nostra concordet voci nostrae — niech myśl artystów uzgodni się z wypowiadaniem się zewnętrznym, to znaczy niech wiara będzie najpierw w duszy artystów, ażeby mogli ją godnie wyrażać."

Świat katolicki na wystawie międzynarodowej. W roku 1958 odbędzie się w Brukseli wystawa międzynarodowa, na której przewidziane są stoiska przedstawiające życie katolickie w świecie.

NOWE KSIĄŻKI

„UCZTA ZADŻUMIONYCH"

Piśmiennictwo polskie posiada parę gatunków literackich szczególnie ulubionych, właściwych jego dziejom i przez to mogących uchodzić za narodowe. Należą do nich gawęda i fraszka. Najlepsze utwory literackie w języku polskim pisane są w formie gawędy, w niej bowiem najpełniej się wyrażają zdolności i właściwości piór polskich, czyli styl; każdy poeta polski marzy o pozostawieniu po sobie tomu fraszek. Fraszki pisali Rej, Kochanowski, Wacław Potocki. Tradycja nawet Mickiewiczowi przypisuje garść, nie drukowanych zresztą w żadnym z jego tomów, fraszek.

Upodobanie do wymienionych rodzajów pisarskich tkwi, oczywiście, w charakterze narodowym i w typie naszej kultury. Gawęda idzie od wracających z wojen towarzyszy, żołnierzy-samochwałów, od kwestarzy i bakałarzy, od palestrantów, myśliwych i pieczeniarzy. Fraszka rodziła się na marginesie dworności i poloru towarzyskiego, w czasie biesiad i kawalerskich zabaw, jako jadowita satyra towarzyska, złośliwy żart o sensatach, statystach i matronach lub szeptany na ucho tłusty dowcip o dziewkach i jejmościankach.

Fraszki i satyry Reja są jeszcze na sposób średniowieczny naturalistyczne, niewyparzone, Kochanowski nawet w nieprzyzwoitościach jest renesansowo wytworny, Jędrzej Morsztyn barokowo rozpustny, Wacław Potocki znów po sarmacku pruderyjny, ale dosadny.

Józef Łobodowski sięgnął do bogatej tradycji fraszki i satyry polskiej ogłaszając „Ucztę zadżumionych"*), zbiór w rodzaju „Ogrodu, ale nieplewionego, brogu, ale co krok, to innego zboża, kramu rozlicznego gatunku". Smak staropolski popsuł nowoczesnymi ingrediencjami à la Tuwim, Słonimski i Gałczyński, a przesolił do reszty wulgarnymi przekleństwami i pastiche'ami rosyjskimi. W sumie powstał tomik o wartości mniej literackiej, a raczej rozrywkowej. Niestety bowiem, w „Uczcie zadżumionych" poeta nie wykazał artystycznego umiaru. Bo to nie tyle groch z kapustą czy bigos hultajski, co mieszanina tortu hiszpańskiego z siemioczkami, końskiej kiełbasy z pulardą, ostryg z serwatką, jaj na twardo z rodzynkami, wina z samogonką. Potężne i natchnione wiersze liryczne (Wstęp do rewolucji, Elegie emigracyjne, a zwłaszcza Narodziny epoki), ani trochę nie przypominające fraszki czy satyry, połączono w tym dziwacznym tomie z paskudztwami w rodzaju „Trzech fraszek łagodnych", „Ogrodu nieplewionego", a zwłaszcza wstręt wywołującej „Skazki o gienierale Łukjanie". Nieliczne, choć świetne satyry („Listy hiszpańskie" — perła!, „Polacy na wojnie", „Ulotki paryskie") i wytworne „Anakreontyki" pomieszano z marynarskim świntuszeniem i porubstwem z moskiewskich czastuszek, od których uszy więdną. Satyryczny poemat tytułowy „Uczta zadżumionych" jest miksturą powieści poetyckiej, satyry politycznej i alegorii, niepotrzebnie przyprawionych, szczęśliwie oszczędnie, trywialnymi wyrazami i obrazami.

Mimo całego nieporozumienia, jest to mimo wszystko Łobodowski, toteż „Ucztę" czytałoby się z rozkoszą, gdyby się nie trzeba co parę strof potykać — jakby na lśniącej posadzce pałacowej sali — o góry śmiecia i liszaje nieczystości. Poeta nie jest bodaj świadom nieskorości swego pióra do satyry, które go sprowadza, jak koń nieujeżdżony, co parę strofek, na manowce liryki. Toteż „Uczta zadżumionych" jest zbiorem liryk i marginalnych satyr, zaśmieconych wulgarnymi fraszkami. Łobodowski skarży się w posłowiu tomu, że zdołał zebrać zaledwie sto przedpłat na wydanie książki. Ta powściągliwość nie jest z pewnością skutkiem braku powodzenia poety wśród czytelników, ale zrozumiałą podejrzliwością co do fraszkowo-satyrycznego talentu Łobodowskiego. Zapowiedź drugiego tomu podobnego rodzaju napełnia tylko niepokojem miłośników klasycznej lutni autora „Rozmów z ojczyzną" i „Z dymem pożarów". Jakiś zły hiszpański Kusy mści się na zabłąkanym pod Guadarrama Sarmacie wodząc go po Łysej Górze poezji, po sabatach i walpurgii języka, zamiast żeby go uwiodły róże Aranjuezu, szepty Kordoby i echa Granady. Jakiś bies skuki z odeskiej tawerny czepił się łacińskiego ducha znad Ikwy. A kysz!

Renesansowo-barokowe paskudzenia wynikały z programowego odczyniania kultury z brudnej pruderii i śliskiej obłudy. Ale ani Rej ani Kochanowski ani Morsztyn nie używali wyrazów-ścierek, słów-pomiotów w nawet najbardziej frywolnych fraszkach. Przeciwnie, im przedmiot był bardziej swawolny, tym w wyszukańsze słowa ubrany. Urok lubieżnej fraszki polegał na tym właśnie, że była z pozoru nadzwyczaj gładka i wytworna. Trzeba też pamiętać, że pewne wyrazy, dziś nam brzmiące trywialnie, wówczas jeszcze tego odcienia nie miały. Fraszkopisowie staropolscy stworzyli wreszcie wiele nowych wyrazów, które potem poszły w język ogólny, ale wówczas były zasłonami pokrywającymi wulgarność. Natomiast plugastwo słownikowe szeroką falą wdarło się do piśmiennictwa polskiego dopiero w dwudziestoleciu, wraz z upadkiem kultury literackiej. Emil Zegadłowicz z lubością kolekcjonował w swych powieściach tasiemce adekwatnych sprośności.

Sztuka polega na przetwarzaniu nagiej rzeczywistości w rzeczywistość artystyczną, na wyborze, selekcji i ograniczeniu; a przede wszystkim na smaku. Każdy ma prawo czerpać życie dowoli bezpośrednio z jego źródeł, ma też prawo zejść w jego sutereny i gnojówki. Niechże jednak nie nazywa tego sztuką.

Pamiętam jedno z wielkich wzruszeń.
gdym pierwszy raz nieśmiałą dłonią
drukarskiej czcionki dotknął. Kruszec
zaczarowany, źródło łaski,
z którego wstają kwiaty słów,
aż się rozrosną, aż rozdzwonią
w kolory, w tęcze, w dźwięczne blaski,
w planety, w księżycowy nów,
i z tych w ołowiu lanych kwiatów
wyrośnie klasztor Monsalwatu
nad tłumem zachwyconych głów.

Oto urywek z „Uczty zadżumionych". Czysty kruszec sztuki i prawdziwy Łobodowski. Nie ten z satyr i fraszek.
A kysz, a kysz!

Jan Bielatowicz

*) **Józef Łobodowski UCZTA ZADŻUMIONYCH. Paryż 1954.** Tom wydany czysto, zgrabną czcionką, niestety, skutkiem uporu autora, z zastosowaniem nie tyle starej, co chaotycznej ortografii. Obwoluta Witolda Januszewskiego mogłaby zdobić najlepsze „komicsy".

O WIERSZE DLA DZIECI

Polska Macierz Szkolna Zagranicą i Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas", pragnąc uratować od zapomnienia i zaginięcia wiele dobrych wierszy dla dzieci i młodzieży i mając zamiar wydać je na emigracji w nowych zbiorkach i książkach, zwracają się do Rodaków rozsianych w tylu krajach całego świata, aby zechcieli pod podanym niżej adresem nadsyłać wiersze dla dzieci i młodzieży, czy to odtworzone z pamięci, czy też odpisane z dziś już rzadkich i dla ogółu niedostępnych książek. Pożądane jest podanie autora(ki), tytułu zbioru lub książki, miejsca i roku jej wydania itp. O ile to tylko możliwe, prosimy o pisanie z dużymi odstępami na maszynie lub też wyraźnym pismem ręcznym. Za zwrot ewentualnie wypożyczonych nam książek ręczymy.

Za najbardziej wartościowe utwory, które wykorzystamy w nowych książkach dla dzieci i młodzieży, wyślemy nadsyłającym nagrody w postaci książek.

Wiersze należy nadsyłać pod adresem: KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS", 12, Praed Mews, London, W.2. England. Na przesyłce w lewym dolnym rogu należy napisać: WIERSZE DLA DZIECI.

Wszystkie polskie pisma na emigracji prosimy o przedruk.

STEFANIA NIEKRASZOWA

NIEWIDZIALNE ŚWIATY

W wyobraźni naszej „świat opery" to nieledwie świat czarodziejski, wymarzony, który przenosi słuchacza w krainę fantazji, absorbuje cudowną muzyką, śpiewem, akcją, barwnością dekoracji, plastyką obrazów baletowych. Odczuwamy wdzięczność dla kompozytora — głównego sprawcy naszej radości, zachwytu i entuzjazmu.

Jakże szczęśliwy wydaje się ten, kto tworzy opery! Żyje na codzień w krainie wyśnionej rzeczywistości...

Tak myśli nieraz zasłuchany widz, znający opery tylko ze sceny.

Niezależnie od „niebiańskich" godzin natchnienia, kompozytora czeka jednak wiele trosk, w związku z realizacją koncepcji twórczych. O tych kłopotach kompozytor nie mówi sam nigdy...

Blaski i cienie twórcy dzieł operowych zna najbliższe otoczenie — rodzina.

Z kartek groteskowego pamiętnika Stefanii Ludomirowej Różyckiej dowiadujemy się, ile to przeciwności czeka autora przed każdą premierą nowej opery. Podobno największym utrapieniem kompozytora jest librecista.

WALKA LIBRECISTY Z KOMPOZYTOREM

Podłożem walki librecisty z kompozytorem jest zazwyczaj chroniczna niemuzykalność autora tekstu opery. Panowie poeci, autorzy dramatyczni i przygodni libreciści nie zdają sobie sprawy, jaka zachodzi różnica pomiędzy dziełem sceniczno-operowym, a dramatycznym. Słowo mówione a śpiewane — to zupełnie co innego... Gdyby w myśl życzeń librecisty podkładać pod każde słowo utworu poetycznego muzykę, opera trwałaby co najmniej dwanaście godzin.

Najważniejszym czynnikiem w operze — jak mawiał Verdi — to nastrój, akcja, silne konflikty dramatyczne, charaktery i sytuacje. Librecista tego nie chce uznać. Obraża się o każde wykreślone słowo. Toteż zazwyczaj współpraca kompozytora i librecisty kończy się zupełnym rozłamem.

„Opera napisana, a przyjaźń diabli wzięli." Na premierze w dwóch oddalonych od siebie lożach siedzą: librecista i kompozytor.

Gdy opera ma powodzenie, librecista przypisuje ten sukces wyłącznie wartości swego libretta. Gdy opera nie ma powodzenia — tym bardziej kompozytor zawinił... Że też kompozytorzy po takich próbach nie tracą animuszu do pisania nowych oper.

JAK SIĘ PISZE OPERĘ?

A teraz dalszy ciąg utrapień, o których szeroka publiczność nic nie wie.

Pisanie opery trwa zwykle około trzech lat. Najpierw należy tę niezliczoną ilość słów libretta skomponować pod postacią szkicu fortepianowego. Przeciętnie 300 stron.

Później taki wyciąg trzeba instrumentować. Znowuż 600 stron, pisanych maczkiem. Wreszcie rozpisać to wszystko na orkiestrę, czyli na 60 muzyków. Paka nut rośnie w sposób zastraszający. W takiej fazie pisania nie tylko na biurku kompozytora nie ma miejsca, ale nawet najbliższa rodzina ustępuje na plan ostatni wobec tej powodzi nut i nutek.

Wreszcie wszystko gotowe, ślicznie zapisane, w porządku ułożone. Zdawałoby się, że koniec utrapieniom. Ale gdzie tam! Troski zaczynają się dopiero na dobre.

OCZEKIWANIE...

Skomponowana, a jeszcze nie wystawiona opera robi wrażenie „starzejącej się córki, której nikt nie chce".

Otóż taka opera, gdy zbyt długo spoczywa bezczynnie w domu, staje się „kością w gardle" dla całej rodziny.

Kompozytor starannie ją omija. W poufnych, rodzinnych rozmowach, unika się wspomnienia na temat opery. Nastrój w domu ciężki. Doprawdy, najmilsze domowe ognisko stać się może z takiego powodu prawdziwym udręczeniem. Zmartwienia i troski sięgają kulminacyjnego punktu, gdy kompozytor przegrywa operę jakiejś dyrekcji i gdy wraca do domu z wiadomością, że dyrekcja z powodów od niej niezależnych opery wystawić nie może. „Chciałaby, ale nie może"... Powoli z zaszczytnego miejsca na biurku opera zostaje przeniesiona na jakąś niewidzialną półkę, wreszcie zamknięta bywa do szafy. Smutek i beznadziejność panuje w domu kompozytora. Naraz niespodziana wiadomość: dyrekcja jednak zmieniła zdanie. Prosi kompozytora o przysłanie opery...

OPERA PRZYJĘTA

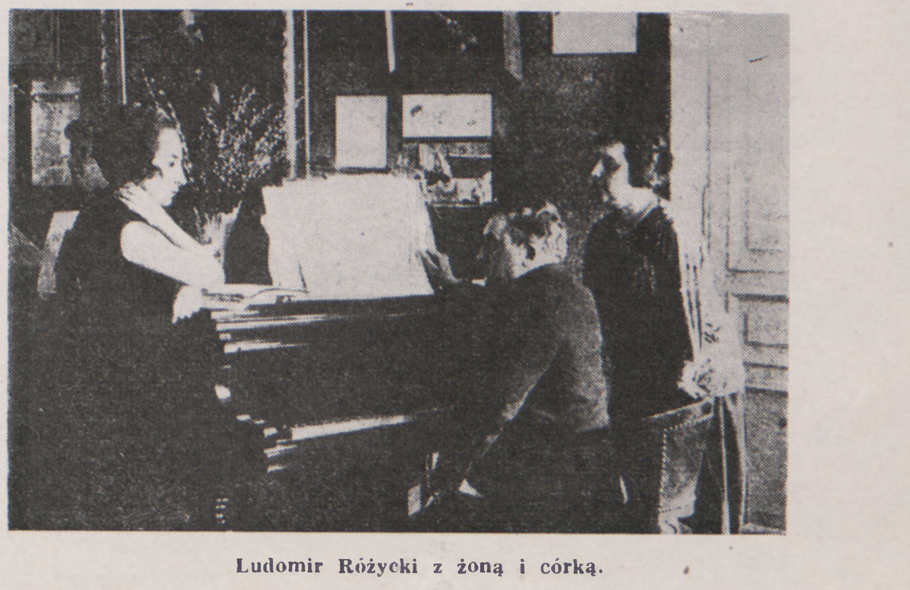
Premiera odbędzie się wkrótce. W domu radość nieopisana. Ręce wszystkich domowników skwapliwie pomagają w opakowaniu i przesłaniu opery do dyrekcji. Bogu dzięki! Już jej nie ma. Szafa, w której opera była zamknięta, patrzy na wszystkich weselszym okiem.

PRZED WYSTAWIENIEM OPERY

Pierwsze kroki na tej drodze są zazwyczaj bardzo przyjemne. Już sam fakt, że muzyka zaklęta dotychczas w martwych nutach nabiera blasku i życia, że staje się ośrodkiem zainteresowania licznego zespołu teatralnego, napełnia strapione serce autora wielką radością. Toteż wszystkie dotychczasowe troski, związane z pisaniem opery, znikają.

Niestety, ten rozkoszny stan nie trwa długo. Troska przyczaiła się chwilowo.

Pierwsze pomruki idą od śpiewaków. Mało jest zadowolonych. Dla jednego partia za wysoka, dla drugiego za niska. Primadonna jest osobą pełną dramatycznego temperamentu, a rola jej nawskroś liryczna. Dyrygent jest skrajnym modernistą, melodii nie uznaje. Tempa i instrumentacja też mu nie odpowiadają. Za mało modernistycznego hałasu. Za dużo chórów.



Ludomir Różycki z żoną i córką.

Dekorator wolałby inną epokę. Dyrektor uważa, że opera jest za długa. Pierwszy skrzypek nie ma sola. Orkiestra w ogóle odnosi się sceptycznie do premiery, a technicy obawiają się za częstych zmian dekoracji.

Grom za gromem spada na głowę nieszczęsnego twórcy. Na domiar złego prześladuje go uśmiech ironiczny librecisty, który z obrażoną miną asystuje przy próbach i sąsiadce dopowiada wykreślone teksty... Powoli radość przeistacza się w wielką przykrość. Po co te opery, a w dodatku polskie! Kompozytor staje się osobą niemile widzianą, ot „zawalidroga", którą wszyscy z niechęcią omijają. Wreszcie autor opery, coraz rzadziej zjawia się na próbach, pozostawiając dzieło swe na łasce Boskiej...

W ciężkim strapieniu próbuje znaleźć poparcie prasy, ale i to go zawodzi. Nie należy do żadnego stronnictwa. Po prostu, jako prawdziwy twórca, nie interesuje się polityką, a to wystarcza, aby prasa odnosiła się do niego obojętnie. Smutek i zwątpienie ogarnia duszę kompozytora. Nigdy więcej opery nie napisze. Tyle żmudnej pracy i takie przykrości!

PRÓBA GENERALNA

Nareszcie kompozytor usłyszy po raz pierwszy dzieło swoje w całości. Powinien usłyszeć. Ale, niestety, i tu oczekiwania zazwyczaj zawodzą. Są teatry, w których próba generalna jest gotowym przedstawieniem. W Stuttgarcie na przykład, na próbę generalną zaprasza się młodzież szkolną. W przeddzień premiery „Eros i Psyche" teatr był tam przepełniony młodzieżą. Zwyczaj taki jest godny naśladowania. Entuzjazm młodocianej publiczności sprzyja powodzeniu opery. Ale Stuttgart to wyjątek. Na ogół próba generalna jest karykaturą dzieła. Dekoracje jeszcze nie ustawione. Śpiewacy nie śpiewają pełnym głosem. W momentach dramatycznych, gdy nareszcie fala melodii winnaby porwać słuchaczów, naraz słyszy się tubalny głos inspicjenta: „Przody wyjaśnić!". Dyrygent zatrzymuje orkiestrę, wszystko się rozsypuje; zaczyna się kłótnia inspicjenta z reżyserem i dyrygentem.

Z generalną próbą związany jest pewien przesąd. — Jeżeli próba się udaje, premiera pada i na odwrót.

KŁOPOTY Z CENZURĄ („ŚMIERĆ TYRANOM")

Ale nie dość tych utrapień. Jakże często cenzura cofa wystawienie opery!

Prapremiera „Erosa i Psyche" L. Różyckiego zostaje cofnięta we Wrocławiu z powodu aktu rewolucji. „...Króle na nas idą, śmierć tyranom"... słowa nie do pomyślenia w ówczesnych Niemczech. Decyduje minister sztuki Schmidt. Sytuację ratuje dyr. Runge: „Panie ministrze — zapewnia dyrektor — kompozytor Różycki jest modernistą, lubi głośną orkiestrę, można by wzmocnić trąby, nikt nic nie zrozumie"... Na szczęście argumenty działają, minister daje się przekonać. Cenzura cofa zarządzenie...

Gorzej było w Stuttgarcie. Znowu akt rewolucji! Na jednej z prób wybucha ostry konflikt, spowodowany tekstem, pomiędzy dwiema partiami — królewską i rewolucyjną. Na scenie, wśród zespołu chóralnego, dochodzi do rękoczynów. Interweniuje policja. Wreszcie dyrektor, Max Schillings, przemawia do zwaśnionych. Choć powoli i opornie, ale zamęt się uspokaja.

W Monachium konflikt natury religijnej. Cenzura zakazuje przyjęcia opery do repertuaru z powodu aktu „w klasztorze", w którym to akcie, z nakazu biskupa, „Psyche" ma być żywcem pogrzebana. „Będziesz słyszała tylko tętna swojej własnej krwi, grzesznico" — głosi sąd biskupa. Cenzura żąda skreślenia tego aktu. Kompozytor się nie zgadza.

PREMIERA

Dla kompozytora dzień straszny.

Szeroki ogół nigdy nie rozumie, ile nerwowego wysiłku kosztuje twórcę tak bezpośrednie zetknięcie się jego dzieła z masą, na ogół niechętnie i krytycznie usposobioną do nowości.

U nas kompozytor w loży słucha swojej opery. We Włoszech panują okrutniejsze zwyczaje. Kompozytora zamykają w małym pokoiku przy scenie i wolno mu się pokazać wtedy tylko, gdy publiczność się tego domaga.

PUBLICZNOŚĆ

Ciekawe jest obserwować ustosunkowanie się publiczności do nieznanego dzieła. Chwilami odbiera się wrażenie, że się ma do czynienia z dziećmi.

Uwaga publiczności rozproszona jest na tysiące zewnętrznych szczegółów. Posmak sensacji nie pozwala na bezpośrednie odczucie istoty dzieła. Poza tym brak wiary we własne zdanie — góruje nad każdym wrażeniem. Naraz jakiś drobiazg w operze, powiedzmy melodyjny motyw, albo moment sentymentalny akcji, niespodzianie przeistacza tę roztargnioną i zimną masę w rozentuzjazmowane dzieci. I to rozstrzyga. W takim momencie, gdy pomiędzy dziełem a publicznością nawiązało się nagłe porozumienie i nagłe zbliżenie, wówczas już tylko sztuka ma głos. Kompozytor wygrywa. Oczarowana publiczność idzie za nim.

Trzyletni owoc pracy i utrapień odbiera „chrzest życia".

PO PREMIERZE, W DOMU KOMPOZYTORA

W salonie jakiś nieznajomy pan z teczką w ręku. Skąd się wziął? Kto to? Kompozytor na pytania nie odpowiada. Śpiesznie wchodzi do salonu i zamyka drzwi. Słychać ożywioną rozmowę... „Ależ proszę pana — mówi nieznajomy — moje libretto doprawdy nie jest długie. Jak stworzone do stylu pańskiej muzyki. Wreszcie, porobię skróty. Niech się pan dobrze zastanowi, szkoda tak pięknego wiersza."

— Boże Święty, co słyszę?... Czyżby nowe libretto i nowe troski? — przeczuwa pani Stefania.

Odsłaniając za zezwoleniem autorki niewidzialne światy blasków i cieni w pracy kompozytora operowego, rzucam pytanie:

— Czy dzieje się podobnie i w innych dziedzinach ludzkiej twórczości.

S. Niekraszowa

DYSKUSJE

JESZCZE O ROSJI

Szanowny Panie Redaktorze!

Sprzeciwy przeciwko mojemu felietonowi „Modlitwa Za Rosję" w listach do redakcji, ogłoszonych w numerze ŻYCIA w dnia 20 lutego b.r. sprowadzają się do dwóch głównych kwestii: do stwierdzenia, że nawrócenie Rosji niekoniecznie będzie stanowić podstawę polsko-rosyjskiej przyjaźni, oraz do oceny wydarzeń politycznych w pierwszej wojnie światowej, a zwłaszcza w roku 1914.

Odpowiadam, że nawrócenie Rosji na katolicyzm czy na prawosławie nie wpłynie na stan sporów politycznych między Polską i Rosją, natomiast sprawi, że polityka rosyjska utraci swe dzisiejsze cechy szatańskie i apokaliptyczne. Nie ma wątpliwości, że nawet w czysto politycznym naszym interesie leży nie tylko obrona naszych bezpośrednich postulatów politycznych, ale także i uwolnienie całego świata od tego gniotącego brzemienia i od tego źródła chaosu, jakim jest komunizm.

Muszę także stwierdzić, że jest rzeczą nieuzasadnioną identyfikowanie, jak to czyni p. J. B., Rosji Sowieckiej z Rosją jako taką. Za czyny Rosji Sowieckiej w roku 1944 naród rosyjski ponosi akurat taką odpowiedzialność, jaką naród polski ponosi za działalność Bieruta czy Wandy Wasilewskiej, też przecież rodowitych Polaków. Nie jest także słusznym uważanie hitleryzmu za dzieło Niemiec katolickich. Narodził się on w Bawarii i Austrii i prawie wszyscy jego czołowi wodzowie byli ochrzczeni w kościele katolickim, był on jednak nie tyle przejawem niemieckiego katolicyzmu (z którego zresztą wszystkich słabych stron zdaję sobie w pełni sprawę), ale reakcją przeciwko temu ostatniemu, mającą wszelkie cechy nie tylko antykatolickie, ale i antychrześcijańskie.

Przechodząc do momentów historycznych, muszę stwierdzić, że nie da się ich omówić o sposób wyczerpujący w krótkim liście. Ograniczam się do powiedzenia co następuje.

Manifest w. ks. Mikołaja Mikołajewicza z sierpnia 1914 roku, rzecz prosta, nie był wydany z miłości do Polski, lecz z politycznej konieczności. Manifest ten nie zaspakajał naszych dążeń, szedł nie dość daleko w uznaniu prawa narodu polskiego do życia państwowego i nie oznaczał, by Rosja gotowa była uznać na wschodzie, czy to w zaborze rosyjskim, czy to w austriackim, nasze postulaty terytorialne. Manifest ten, w dodatku, wyrażał postawę i politykę jednego tylko odłamu kół rządowych rosyjskich, któremu przeciwstawiały się dążenia drugiego, wpływowego odłamu, mianowicie reprezentującego sympatie proniemieckie. Jest jednak faktem, że obóz, będący w owej chwili w Rosji u władzy, obóz zdecydowany na walkę z Niemcami i prowadzący tę walkę z siłą i energią, manifest taki zdołał wydać i że manifest ten był bezsprzecznie wycofaniem się Rosji z polityki udziału w rozbiorach. Manifest ten uznawał, że sprawa polska musi być rozwiązana na zupełnie nowych podstawach, że wszystkie trzy zabory muszą być złączone w jeden polityczny organizm i że organizm ten musi otrzymać byt prawnopaństwowy. Nie ulega wątpliwości, że gdyby Rosja carska wyszła z pierwszej wojny światowej zwycięsko (na co się zresztą zgoła nie zanosiło), to program ten byłby nie tylko urzeczywistniony, ale byłby się stał pierwszym krokiem do przemian idących znacznie dalej.

Rosja poróżniona z Niemcami nie może prowadzić polityki antypolskiej. Rezultatem zwycięstwa carskiej Rosji w pierwszej wojnie światowej byłaby sytuacja podobna do sytuacji z roku 1945, to znaczy Polska będąca satelitą rosyjskim, mocno okrojona od wschodu, dość duża, złożona z trzech zaborów, silnie przesunięta na zachód. Z tą jednak zasadniczą różnicą, że wpływ Rosji na nasze życie wewnętrzne, oraz stopień zmiażdżenia polskości poza naszą wschodnią granicą państwową byłby w systemie carskim nieskończenie słabszy, niż w systemie komunistycznym. Oczywiście nie potrzeba stwierdzać, że takie rozwiązanie sprawy polskiej byłoby o wiele mniej zadawalające od tego, które stało się rzeczywistym wynikiem pierwszej wojny światowej wskutek zwycięstwa aliantów zachodnich bez Rosji. Byłoby ono dla nas tylko etapem na drodze do rozwiązania lepszego. Jednak tylko wielkie zaślepienie może negować, iż ewentualność zwycięstwa niemiecko - austriackiego (to znaczy w praktyce: po prostu niemieckiego) była dla nas w pierwszej wojnie światowej ewentualnością nie tylko od zwycięstwa carskiego dużo gorszą, lecz wręcz groźną i tragiczną.

Wbrew temu, co twierdzi p. Chebda, Austria, brana przez niego w obronę, ani w roku 1914, ani później, aż po koniec roku 1918, na żaden krok analogiczny do manifestu w. ks. Mikołaja Mikołajewicza się nie zdobyła. Zezwolenie na założenie w Krakowie Naczelnego Komitetu Narodowego (pamiętajmy o tym, że Polski Komitet Narodowy z Dmowskim i Zamoyskim na czele powstał także i w Warszawie, a jego dalszym ciągiem stał się później Komitet Narodowy w Paryżu), nie było aktem prawno-państwowym austriackim, oznaczającym zaciągnięcie jakichkolwiek zobowiązań w sprawie polskiej. Żadnego w ogóle aktu politycznego austriackiego w sprawie polskiej aż po rok 1916 nie było i Austria aż do końca nie wycofa się z uznawania rozbiorów za podstawę urządzenia sprawy polskiej. Gdyby się chciało obmyślić posunięcie austriackie analogiczne do aktu w. ks. Mikołaja Mikołajewicza nawet łącznie z jego korekturą w postaci wystąpień hr. Bobrińskiego we Lwowie, posunięciem takim musiałaby być deklaracja o utworzeniu państwa polskiego pod berłem cesarza austriackiego, obejmującego Kraków, Warszawę i Poznań, choć może nie obejmującego Cieszyna, Gdańska, a nawet Lwowa i Chełma. Wszyscy wiemy, że takiej deklaracji nie było i być nie mogło.

I odwrotnie, gdybyśmy chcieli obmyślić rosyjski odpowiednik aktu cesarzy: austriackiego i niemieckiego z dnia 5 listopada 1916 roku, aktem takim mogła być tylko deklaracja o utworzeniu państewka polskiego ze stolicą w Poznaniu lub w Krakowie, nie obejmującego ani skrawka ziem zaboru rosyjskiego. Wszyscy wiemy, że manifest w. ks. Mikołaja Mikołajewicza miał na myśli organizm polityczny polski ze stolicą w Warszawie.

P. Chebda pisze, że akt z 5 listopada 1916 roku był wydany „na odzyskanych ziemiach polskich". A to dobre! Odzyskanych? Przez kogo? Przez Niemcy i Austrię? Trudno o jaskrawszy przykład nieprawidłowego politycznego myślenia nad to nazwanie wkroczenia nowego okupanta — „odzyskaniem ziem polskich".

P. Chebda zaleca czytanie książki p. Pobóg-Malinowskiego. Książkę tę czytałem. Mogę p. Chebdę zapewnić, że nie jest to autorytet, na który warto by się powoływać. P. Pobóg-Malinowski jest pracowitym zbieraczem materiałów historycznych, ale jego sądy polityczno - historyczne są prymitywne i naiwne. W dodatku, nie jest to historyk, który stojąc na gruncie swojego światopoglądu dąży z całą sumiennością i odwagą do ustalania ścisłej historycznej prawdy, nawet, jeśliby mu się wydawała prawdą nieprzyjemną. Jest to apologeta, który grupuje swoje argumenty w sposób tendencyjny pod kątem widzenia interesu kierunku, którego propagandzie oddał swoje pióro na usługi.

Powtarzam: zbyt to obszerny temat, by można go było wyczerpać w liście do redakcji. Pragnę jednak zakończyć moje uwagi stwierdzeniem, że nasze najnowsze dzieje — a wśród nich nie na ostatnim miejscu dzieje polityki polskiej i jej zazębień z polityką innych państw i narodów w roku 1914 — wymagają gruntownego przemyślenia na nowo przez polską opinię publiczną, zbyt długo karmioną frazesami propagandowymi i tendencyjnymi legendami.

POLONUS

P.S. Pragnę podziękować Panu Adamowi Jarosińskiemu za list w generalnych liniach solidaryzujący się z moim punktem widzenia, którego Redakcja ŻYCIA nie wydrukowała.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 27 marca 1955 r.

MAGIA I PRZESĄDY
ZAMIAST RELIGII

W jednym ze swych przedwojennych essayów, zatytułowanym „The Substitutes for Religion", Aldous Huxley pisze o różnego rodzaju „namiastkach" religii jakie pojawiły się w społeczeństwach zachodnich, gdy nastąpił upadek wierzeń i uczuć religijnych. Uwagi jego znajdują obecnie pełne potwierdzenie w wynikach ankiety, jaką w tych dziedzinach przeprowadził Geoffrey Gorer. Wśród 5.000 „przedstawicieli" różnych warstw społecznych, wśród ludzi różnych klas, różnego wieku i płci. Rekapitulację swych badań w zakresie stosunku Anglików do religii i zagadnień z tym związanych ogłosił p. Gorer obecnie na łamach „Observera".

Okazuje się, że nieco ponad jedna czwarta ogółu mężczyzn i jedna szósta wszystkich kobiet w Anglii negują, jakoby mieli jakiekolwiek związki z którąkolwiek z istniejących religii. Są to więc ludzie, którzy ulegli zapełnemu nie tyle „spoganieniu" co „odreligijnieniu".

Reszta przyznaje się do jakiejś religii czy formy protestantyzmu. Wyjątek stanowią katolicy, którzy w Anglii wynoszą 8 proc. ogółu ludności, dalej ludzie należący do sekt tego typu jak spiritualizm, Christian Science i teozofia (razem ok. 3 proc.), oraz wyznawcy religii mojżeszowej (nieco mniej niż 1% ogółu ludności). Spośród ludzi „religijnych" dwie trzecie uważa się za członków kościoła anglikańskiego, jedną dziesiątą stanowią metodyści, a reszta rozbita jest na różne drobne sekty protestanckie, z których żadna nie skupia więcej niż 3 proc. ludności Anglii.

Odsetek praktykujących w wyznaniach protestanckich jest bardzo niski. Ponad połowa mężczyzn i jedna trzecia część kobiet nie wchodzi nigdy do kościoła w celu modlenia się, lub uczestniczenia w nabożeństwie, choć większość siłą tradycji idzie do kościoła na chrzty, śluby i pogrzeby.

Ale ważniejszą jeszcze rzeczą od nikłej liczby praktykujących jest brak wiary w podstawowe dogmaty chrześcijańskie. 60% zapytywanych odparło wprost, że nie wierzy w piekło, wśród reszty wielu odpowiedziało, że „nie wie", a tylko poniżej 20% (w czym oczywiście 8% katolików) stwierdziło, że w piekło wierzy. W życie pozagrobowe w tej czy innej postaci wierzy tylko jedna trzecia mężczyzn angielskich, natomiast prawie dwie trzecie kobiet. Z wyjątkiem małego odsetka wszyscy wierzący w życie pośmiertne uważają, że przyjdzie ono niejako automatycznie, bez względu na wiarę lub cnoty danej osoby. Ci, którzy wierzą w niebo, pojmują je często bardzo materialistycznie. Większość — stwierdza autor — traktuje życie pośmiertne jako rodzaju wieczystego „Welfare State" pokoju, spoczynku i szczęścia, bez wojen, bez przygód klasowych, bez rozróżniania płci i bez innych czynników, powodujących zakłócenia i niedoskonałości w życiu ziemskim.

Rzeczą interesującą jest znaczna stosunkowo liczba wierzących w reinkarnację. Ponieważ wiara w metampsychozę nie zachodzi ani w chrystianizmie, ani w żadnej z wielkich religii Europy i Bliskiego Wschodu, należy przypuszczać, że w Anglii jest ona wynikiem niektórych filmów i lektury magazynów „okultystycznych".

Wśród ludzi niereligijnych w Anglii występuje masowo wiara w duchy, w szczęśliwe i nieszczęśliwe numery, w horoskopy i w ogóle w różne formy magii, a także w maskotki. Szósta część ogółu ludności Anglii wierzy w duchy (strachy), a spośród pozostałych osób jedna czwarta waha się, czy wierzyć, czy nie wierzyć.

80 procent ogółu Anglików czyta każdego tygodnia co najmniej jeden z horoskopów astronomicznych, ogłaszanych w prasie.

W dziedzinie maskot mężczyźni angielscy są jeszcze bardziej przesądni niż kobiety, zwłaszcza w warstwie robotniczej. Na każdych trzech byłych żołnierzy jeden — jak wykazała ankieta — posiada maskotkę z czasów wojny.

Właśnie o manii maskot Huxley sporo pisał w swym essayu sprzed dwudziestu lat.

Interesujące jest stwierdzenie Gorera, że ludzie, którzy mają silne i zdecydowane poglądy religijne (stanowią oni w Anglii jedną szóstą części ludności), na ogół nie ulegają wpływom magii.

ZGON WYNALAZCY PENICYLINY

11 marca zmarł w Londynie odkrywca penicyliny. Sir Alexander Fleming był Szkotem, jak tylu innych wybitnych brytyjskich wynalazców i uczonych.

Fleming zauważył kiedyś w swym laboratorium bakteriologicznym, że jedna z jego „kultur" bakterii popsuta została przez pleśń, która zagnieździła się na płycie. Stąd odkrycie w r. 1928 penicyliny, która wywołała taki przewrót w medycynie. Ale najpierw trzeba było zobaczyć tę pleśń i jej niszczący wpływ na bakterie.

WIECZORY LONDYŃSKIE

UCZCZENIE POETY
Nagroda poetycka dla St. Balińskiego

Na wieczorze ku uczczeniu twórczości poetyckiej Stanisława Balińskiego w „Ognisku Polskim" w Londynie wspomniano o siedmiu listach, które na wiadomość o przyznaniu poecie nagrody nadeszły z powinszowaniami z Kraju. Listów gratulacyjnych z całego obszaru emigracji było ni' wiele więcej. Uroczystość w „Ognisku", mimo pozorów, nie dawała wrażenia owacji dla najbardziej emigracyjnego poety. Być może, że w Kraju większy urok ma poezja emigracyjna, a na obczyźnie na odwrót poezja krajowa.

W czasie londyńskiego wieczorku nie odczuwało się wylewnej wdzięczności ani serdecznego uznania, mimo że na uroczystość przybyła sama śmietanka, a raczej bodajże w komplecie zeszli się ludzie-instytucje. Aż Dwu z Rady Trzech, Egzekutywa, za wyjątkiem śmiertelnie zapracowanych, głowy stronnictw, inne osobistości polityczne, społeczne, generalicja, inteligencja pracująca oraz pisarze prozaicy. Wieczór nabrał charakteru niemal oficjalnego, tak jakby Baliński dostał nagrodę nie mało znanej instytucji emigracyjnej, lecz Akademii Literatury.

Nagrodę dał Instytut Polski w Wielkiej Brytanii, o czym jeszcze niżej. Baliński powinien był dawno dostać którąś z licznych nagród literackich, skoro lista kandydatów do lauru jest już na wyczerpaniu. Ale tę nagrodę przyznano w raczej osobliwy sposób. W czasie uroczystego wieczoru Lidia Ciołkoszowa oznajmiła, że Instytutowi Polskiemu w W. Brytanii, o czym jeszcze niżej, wydawało się oczywistą niesprawiedliwością, iż poeta tak wybitny i tak nawskroś emigracyjny jak Baliński nie dostał dotąd żadnej nagrody, zaczem Instytut wymierzył sobie sprawiedliwość na własną rękę, nagrodził poetę i przygotował wieczór ku jego czci.

Stanisław Baliński jest pięknym poetą, a jego wiersze są ścieżką ku najdroższym nam tradycji. Jedna z pierwszych na emigracji nagród powinna się była znaleźć w jego rękach. Jednakże samosąd literacki Instytutu Polskiego nie wróży nic dobrego i jest wprowadzeniem do literatury „veta" w stylu zjednoczeniowym. Tylko patrzeć, a powstaną podwójne albo i potrójne nagrody dla „najlepszej poezji", dla „najlepszej pisarki", dla „jedynego dramatopisarza". Doczekamy się dwu rad i po parę głów.

Instytut Polski w W. Brytanii, o czym zresztą, powstał, jak mówiła p. Ciołkoszowa, w roku 1946 „w pokoju pana konsula Poznańskiego" i miał najpierw 5 tysięcy funtów. Rychło majątek stopniał do półtora tysiąca i dopiero wówczas Instytut rozwinął żywą działalność, zasilając wydanie wielu cennych pozycji literackich: „Szkiców z historii literatury" Weintrauba, księgi pamiątkowej Słowackiego, „Tajemnicy fotela" Bregmana, „Polskich strojów ludowych" Karpińskiej, białej księgi o prześladowaniu Kościoła w Polsce, oraz umożliwiając przekład i wydanie po angielsku Herlinga Grudzińskiego „A World Apart" i Naglerowej „The Loves and Ambitions". Wreszcie przyznał nagrodę Stanisławowi Balińskiemu.

Wieczorowi laureackiemu przewodniczył dr Witold Czerwiński, mówiąc w dość zwięzłym zarysie o znaczeniu poezji Balińskiego dla Polaków na tle wydarzeń dziejowych. Juliusz Sakowski w finezyjnym i arcydowcipnym esseju roztoczył przed słuchaczami zbiór anegdot z życia laureata, który przychodząc z wizytą panie obdarowywał zawsze torcikami pralinowymi od Lourse'a, a dzieci skarbonkami, aby się uczyły oszczędzać. Również zdradził, że po wieczorze w „Ognisku" nie jest wykluczone czerwone wino.

Maria Danilewiczowa mówiła o formalnych wartościach poezji Balińskiego, o jego ciekawych średniówkach oraz o powodzeniu wierszy w pamiętnikach przedwojennych pensjonarek.

Mila Kamińska czytała na wieczorze „Poranek warszawski", a wiersze o południu Europy Tola Korian. Było już dobrze pod noc, więc autor tych słów z żalem musiał opuścić „Ognisko" nie mogąc się doczekać na przemówienie Andrzeja Pomiana i, jak się należy domyślać, samego laureata.

Wieczór pozostawił niezatarte wrażenie.

J. B.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

KSIĄŻKA ZBIOROWA O TRZECIEJ RZESZY. Pod auspicjami Międzynarodowej Rady Studiów Filozoficznych i Humanistycznych, a z zasiłkiem UNESCO ukazała się księga zbiorowa „The Third Reich", opracowana przy udziale 27 pisarzy różnych narodowości, także Niemców. Dzieli się ona na trzy części: pierwszą stanowi studium nad filozoficznymi źródłami narodowego socjalizmu i faszyzmu, drugą jest analiza okoliczności, które umożliwiły przekształcenie ideologii w program polityczny, wreszcie trzecią omówienie techniki i metod obu ruchów.

Recenzenta „Times Literary Supplement" zirytował rozdział, napisany przez profesora Vermeil, w którym ten historyk „uwziął się dowieść", że Niemcy Hitlera były niczym więcej, jak tylko logiczną kulminacją dziedzictwa politycznego i intelektualnego Niemiec. Prof. Vermeil cofa genezę militaryzmu pruskiego wstecz aż do XIV wieku, kiedy stosunki między Prusami (a raczej wówczas Brandenburgią i Zakonem Krzyżackim) poczynały dominować nad rozwojem historycznym szczepów niemieckich. Prof. Vermeil — podkreśla jednak z zadowoleniem recenzent — sam jeden ze wszystkich współpracowników dzieła daje taki „zniekształcony" obraz przeszłości Niemiec.

Nasuwa się pytanie, czy jednak poglądy prof. Vermeil nie zawierają w sobie sporo słuszności?

„ZAGINIONY BEZ ŚLADU". Do dosyć już obfitej literatury, opisującej przeżycia więźniów obozów pracy przymusowej, przybyła nowa interesująca pozycja. Jest to książka Polaka Antoniego Ekarta pt. „Vanished without Trace" (Max Parrish, cena 16 szyl.). Ekart, inżynier z zawodu, przebywający obecnie w Szwecji, pracował przed wojną w Warszawie, ale w chwili jej wybuchu znajdował się we wschodniej Polsce i w momencie, kiedy zamierzał przekroczyć granicę litewską, został aresztowany przez bolszewików. W rezultacie spędził w więzieniach i obozach sowieckich sześć i pół roku, a więc więcej niż ktokolwiek, kto opisywał swe wrażenia stamtąd.

Wysłany został najpierw do łagrów kargapolskich; w r. 1941 po układzie Sikorski-Majski został zwolniony i spędził pewien czas na wolności w Iwanowie, ale później znów go uwięziono i skazano na dziesięć lat obozu pracy przymusowej w Workucie. Szczęśliwie jednak nie osadzono go tam: dostał się najpierw do Kotłasu, a później do Abezu, w warunki bardzo trudne. Przeważnie jednak nie musiał pracować fizycznie, lecz zatrudniono go jako sanitariusza i medyka. Kiedy oczekiwał zesłania do Workuty, całkiem nagle przyszedł rozkaz uwalniający go.

Opisy obozów, w których znajdował się Ekart, potwierdzają dotychczasowe na ten temat informacje, zawierają jednak także dużo nowych danych i szczegółów. Zdaniem Ekarta 15% całej ludności imperium sowieckiego znajduje się w obozach pracy przymusowej; parę milionów rocznie ginie z powodu wyczerpania i złych warunków.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

ORTELIUS I GRODECKI

W hali licytacyjnej Sotheby's wystawione zostały na sprzedaż listy słynnego geografa antwerpskiego z XVI wieku, Abrahama Orteliusa (1520-1598). Nabył je zbieracz amerykański dr Otto Fisher, płacąc za nie ogromną sumę, bo 13.000 funtów.

Zbiór obejmuje 260 listów, pisanych do Orteliusa przez różnych wybitnych uczonych jego epoki, nadto pewną ilość listów, pisanych przez samego Orteliusa. Listy ofiarowane zostały ongiś kościołowi holenderskiemu w Londynie przez siostrzeńca Orteliusa Jakuba Cole. Sprzedane obecnie zostały na zlecenie zarządców majątku kościelnego.

Byłoby rzeczą interesującą dowiedzieć się, czy w zbiorze nie znajdują się też listy Polaków. W atlasie geograficznym Orteliusa, który ukazał się w r. 1570, jest między innymi bardzo dobra jak na ówczesne warunki mapa Polski; wykonał ją — jak głosi napis — Wenceslaus Grodecius Polonus". Jest to łacińska forma nazwiska współczesnego kartografa polskiego Wacława Grodeckiego. Mapa wyróżnia się tym, że podaje nazwy miast śląskich w brzmieniu polskim. Opole, Brzeg, Koźle, Strzelce, Skoczów, Opawa i inne, unikając starannie nazw niemieckich, które były w powszechnym użyciu w ówczesnej i późniejszej kartografii europejskiej opierającej się, jeśli chodzi o Śląsk, na atlasach i mapach niemieckich.

UTRUDNIENIA W PODRÓŻACH

W „Daily Telegraph" ukazał się artykuł redakcyjny narzekający na utrudnienia stosowane wobec podróżujących Brytyjczyków. Muszą oni wciąż jeszcze — skarży się autor artykułu — mieć przy sobie paszport, wystawać w ogonkach, by doczekać się jego ostemplowania, wypełniać formularze. Właściciele samochodów posiadać muszą nadto tzw. karnet lub tryptyk. Wizy — czytamy dalej — nie są już tak modne, jak były dawniej; Hiszpania jest dziś w Europie jedynym krajem niekomunistycznym, który wciąż trwa przy obowiązku wizowania paszportów brytyjskich. Natomiast w innych częściach świata uzyskanie wizy jest nadal koniecznością, której załatwienie nasuwa niekiedy poważne trudności; osoby wyjeżdżające do jednego z krajów Ameryki Południowej dostarczyć muszą aż jedenastu fotografii.

Artykuł lamentuje następnie nad zbyt sztywnym w tych sprawach stanowiskiem brytyjskich władz celnych i policyjnych, wzywając do rozluźnienia istniejących przepisów.

Sądzimy, że pożądane byłoby też złagodzenie formalności wymaganych od posiadaczy zielonych „Travel Documents", tj. w praktyce od emigrantów politycznych. Do tej pory wszystkie państwa domagają się od nich wiz podróżnych, przy czym cena tych wiz jest częstokroć wcale wysoka, choć w ogromnej większości wypadków chodzi tu o ludzi rozporządzających bardzo skromnymi środkami pieniężnymi.

NOTATKI

DYSKUSJA o krzyżu w koronie orła białego wygasła po wymianie listów profesorów Strońskiego i Kukiela w ŻYCIU. Wywołała ona szerokie echo wśród emigracji polskiej, na ogół zgodnej co do konieczności przywrócenia krzyża w godle państwowym. Nie brak było też, oczywiście, głosów, wedle których całe zagadnienie jest bez znaczenia, a nawet i takich, co nazywały spór o krzyż w koronie odwracaniem uwagi od spraw zasadniczych.

Gdybyśmy o niczym innym w życiu prywatnym i społecznym nie rozprawiali, jak tylko o sprawach zasadniczych, nie wiele by takie życie było warte. Poza tym przywrócenie krzyża w godle Rzeczypospolitej nie jest, naszym zdaniem, zagadnieniem błahym. Jeśli zaś błahe, to przywróćmy krzyż i będzie spokój. A jednak ci, którzy nazywają to zagadnienie błahym, gotowi dać się porąbać, byle tylko krzyża nie przywrócić.

„Polska Wierna" z 31 października ub. r. w mądrym i pięknym artykule pt. „O znak Krzyża w polskiej koronie" ks. Mariana Piotra poparła wystąpienie ŻYCIA, pisząc m. in. „...dyskusja o polskiej koronie z krzyżem czy bez krzyża jest osiągnięciem ŻYCIA i być może największym w jego dotychczasowej pracy". Artykuł „Polski Wiernej" był wówczas serdeczną dla nas otuchą i jasnym świadectwem, że nie jesteśmy odosobnieni i że nie będziemy sami, kiedy w odpowiednim czasie do sprawy znowu powrócimy.

Miesięcznik dla młodzieży wydawany przez Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas" „DROGA" przyniósł w nrze marcowym reprodukcję obrazu św. Kazimierza Jagiellończyka pędzla Carlo Dolci'ego, z galerii Pittich we Florencji. Obok królewicza zapatrzonego w niebo widać na obrazie koronę jagiellońską z krzyżem. Carlo Dolci żył i tworzył w latach 1616-1686, a więc w czasie jeszcze dalekim od „schyłkowości" Rzeczypospolitej, a korony jagiellońskiej z krzyżem na pewno nie wymyślił, lecz znalazł ją we współczesnych rycinach lub opisach.

RADIO brytyjskie nadało w ubiegłym tygodniu operę Karola Szymanowskiego „Król Roger", ze słowami Jarosława Iwaszkiewicza. Czesław Halski, zasłużony krzewiciel muzyki polskiej w Anglii, przedstawił w „Radio Times" (4. 3. 55) genezę opery Szymanowskiego, jej treść i charakter muzyczny. Akcja „Króla Rogera" rozgrywa się w XII wieku na Sycylii, za tło mając konflikt między chrześcijaństwem i pogaństwem. Utwór jest nadzwyczaj wystawny, muzycznie i dekoracyjnie. Posługuje się motywami greckimi, arabskimi, bizantyńskimi i łacińskimi. Za dekoracje służą wspaniałe świątynie i pałace średniowieczne.

Koncepcja opery jest jednak przede wszystkim muzyczna, obok solistów występują liczne chóry. Szczególnie piękne są partie: początkowa z dwoma chórami, aria pasterza w akcie I oraz taniec arabski i kołysanka Roksany w akcie II (kołysanka ta w adaptacji Pawła Kochańskiego na skrzypce i fortepian uchodzi za arcydzieło muzyki światowej).

Rolę Rogera wykonał w BBC Redvers Llewellyn, rolę Roksany Joyce Gartside, śpiewał chór BBC, orkiestra Królewskiej Filharmonii, dyrygent Stanford Robinson. „Król Roger" powstał i wykonany był po raz pierwszy w Warszawie w r. 1926, po czym grano i wystawiono go w Duisburgu (1928), w Pradze (1932) i w Teatrze Massimo w Palermo na otwarcie międzynarodowego festiwalu muzyki nowoczesnej (r. 1949). Szymanowski staje się coraz bardziej popularny w Anglii.

A CO W KRAJU?

W miesięczniku „Encounter", wydawanym przez Kongres Wolności Kultury, z marca br. pojawił się, jako wstępny, artykuł Andrzeja Panufnika pt. „Composers and Commissars", poprzedzony obszerną notą biograficzną autora. Ten sam artykuł zamieścił francuski odpowiednik „Encountera" — „Preuves", a podobnej treści również paryska „Kultura".

W czasie jednego z koncertów z udziałem Panufnika, poświęconych muzyce Szymanowskiego, nagrano na taśmę m. in. „Stabat Mater". Kiedy się o tym dowiedziało reżymowe ministerstwo kultury, wszczęło dochodzenia przeciwko „reakcyjnym czynnikom", które na drodze spisku usiłowały przemycić i rozpowszechnić kompozycję religijną.

Andrzej Panufnik jest znowu w Londynie, powróciwszy z objazdu koncertowego ze Stanów Zjednoczonych. Wziął on udział w wieczorze ku uczczeniu St. Balińskiego.

W PROGRAMIE polskim BBC nadano w ubiegłym tygodniu słuchowisko o Ojcu Kolbem, w układzie Witolda Leitgebera.

ZNOWU kilku pisarzy opuszcza Londyn — w kierunku na Monachium i Nowy Jork — m. in. Maria Kuncewiczowa, Michał Sambor i Andrzej Pomian.

RUCH WYDAWNICZY na emigracji nie słabnie. Komisja Historyczna Polskich Sił Zbrojnych ogłosiła przedpłatę na zbiorową monografię dziejów 2 Korpusu.

W ciągu roku bieżącego mają wyjść dwie księgi Mickiewiczowskie: jedna ma być zbiorowym hołdem pisarzy emigracyjnych dla Mickiewicza, druga kilkujęzycznym zbiorem prac naukowych w stulecie śmierci poety.

„Orbis" zapowiada powieść Józefa Mackiewicza „Droga do nikąd".

W Stanach Zjednoczonych ukazała się już w języku angielskim imponująca monografia o Adamie Czartoryskim pióra prof. Mariana Kukiela i za kilka tygodni znajdzie się na półkach księgarskich w Anglii.

Kapitan m/s „Batory", Jan Ćwikliński, który w dramatycznych okolicznościach opuścił ten statek, wydał w Stanach Zjednoczonych książkę p. t. „The Captain Leaves His Ship". Jeden z rozdziałów nosi tytuł „Polska na wygnaniu" i zawiera rozważania autora na temat konieczności przygotowań do wyzwolenia Polski.

Książkę o życiu w Polsce pod sowieckim jarzmem przygotowuje w języku angielskim Scarlet Panufnikowa.

J. B.

REGULARNIE WPŁACANA PRENUMERATA JEST PODSTAWĄ EGZYSTENCJI PISMA

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W.2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. WPŁATY a) **w krajach bloku szterlingowego**: Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego**: International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach**: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1.0.0. w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — **„Libreria Polaca"**, Serrano 2076, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciele: **„Vistula" (Australia) Pty**, 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 85 Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide. S. A. BELGIA: Przedstawiciel — **E. Kulakowska**, 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. 90 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — **Z. Kietlińska**, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana oraz **Rev W. Słapa**, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — **„Libella" Librairie**, 12, Rue St. Louis-en-l'Ile, Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — **B. Galas, Fagelstraat 15A**, Breda. KANADA: Przedstawiciele — **Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, 4118, Western Ave., Montreal 6, **International Book Service**, 57, Queen Str. W., Toronto i **„Radegast"**, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man. Prenumerata kwartalna $ 2.00. NIEMCY: Przedstawiciele: **S. Mikiciuk**, Gablonzerstrasse 7/I, (13 b) München 13, oraz **„Informacja Prasowa"**, Posfach 86 (23) Quakenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM. NORWEGIA: Przedstawiciel: **B. Łubiński**, Fagerturveien 14, Bestun ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: **„Gryf Publications"**, 615, Henry Street, Utica N.Y. oraz **M. Kijowski**, 13171, McDougall, Detroit 12, Mich., oraz **J. Stojanowska, 424**, Ave „E", Bayonne, N. Jersey oraz **„Pomoc" — Eksport Import, 761**, Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenumerata kwart. $ 2.00. SZWAJCARIA: **Mgr A. Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna 5.00 frs. SZWECJA. Przedstawiciel: **Mgr B. Kurowski**, Lund, Revingegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: **Mme Z. Bulhak-Jelska**, via Salaria 300 C, Roma.

W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

...d by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PADdington 9734